

L. 540.750/236

Książki dla wszystkich.

№ 236

Cena 30 kop.



ARNE GARBORG

GÓRSKIE POWIETRZE

I INNE OPOWIEŚCI

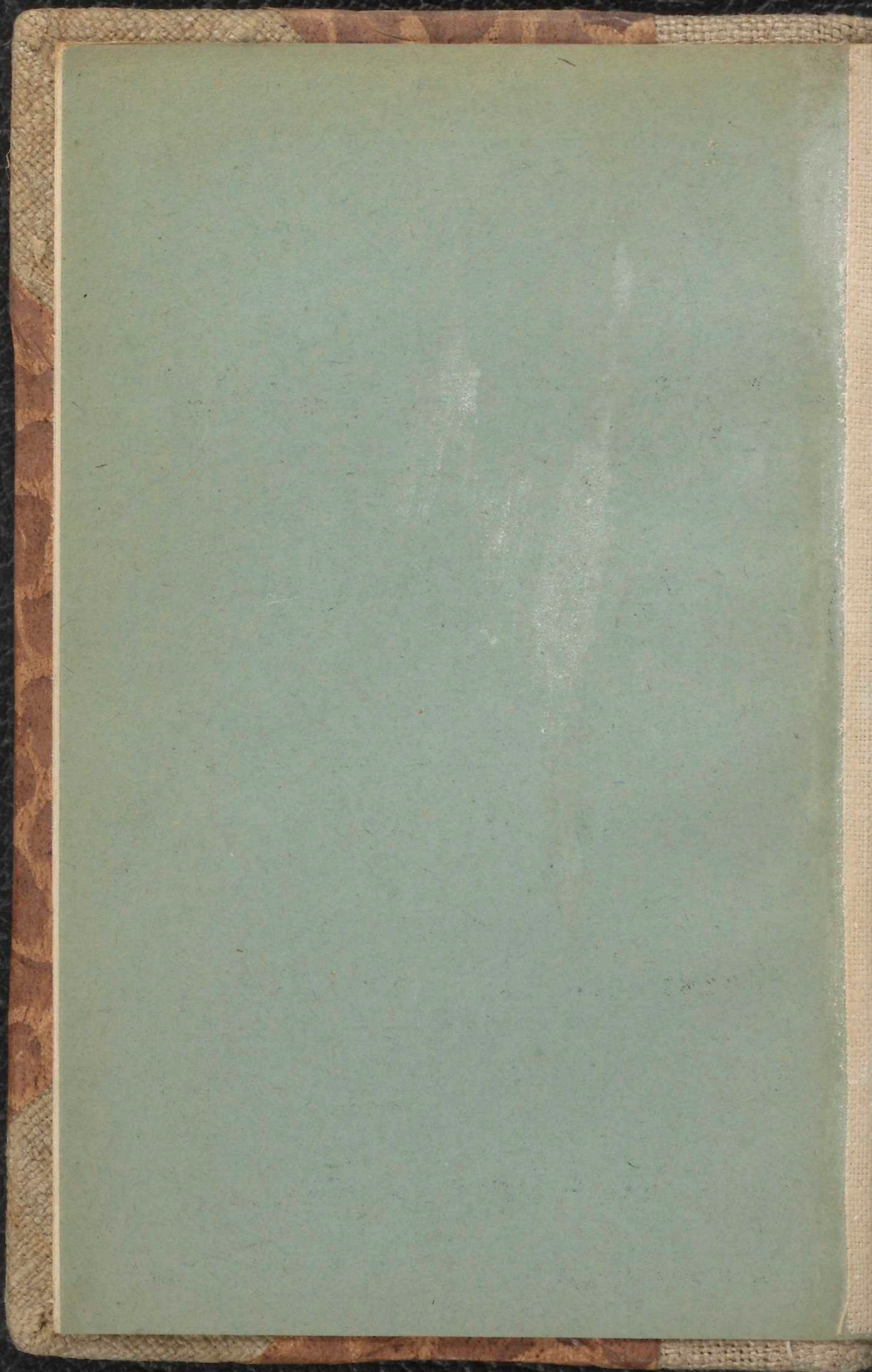
przełożyła z oryginału norweskiego

Józefa Kłemensiewiczowa



Wydawnictwo M. ARCTA w Warszawie

w Galicji 78 hal.



KSIAŻKI DLA WSZYSTKICH

ARNE GARBORG

GÓRSKIE POWIETRZE

I INNE OPOWIEŚCI

przełożyła z oryginału norweskiego

Józefa Kłemensiewiczowa



WARSZAWA

NAKŁADEM I DRUKIEM M. ARCTA

1907



I.540.750 | 236

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001008152976

1941 №. 2313

M O R Z E.

Zegarek wskazywał pięć minut po dwunastej, o wpół do pierwszej miano go pochować. Mogłem więc jeszcze posiedzieć chwilę.

Na dworze było mokro i brzydko, ot taki przykry, dżdżysty dzień powszedni, jaki przeważnie bywa w Chrystjanji. Było to pierwszego lutego. Mój przyjaciel, redaktor dziennika i ja siedzieliśmy sobie zacisznie w kawiarni wonnej i ciepłej. Sherry było niezgorsze i mieliśmy o czym rozmawiać, mianowicie o «położeniu.»

A ono tak się przedstawiało, że nowy sejm miał być dziś otwarty o godzinie pierwszej przez samego króla Oskara II i że ten sejm właśnie miał rozstrzygać ważne kwestje.

Redaktor utrzymywał, że wie, co będzie zawierała mowa tronowa, a mianowicie nic. Ale w gruncie rzeczy byliśmy ciekawi. Nikt nie mógł przewidzieć, na jaki pomysł wpadnie gabinet Selmera.

Wtym, jak wspomniałem, spojrziałem na zegarek. Zaczęliśmy jeszcze rozmawiać o tym, którego miano chować.

Należał on, podobnie jak ja, do braci piszącej. I nie był bez talentu. Posiadał dużo ognia i miał niezwykłą zdolność wynajdywania prawdy, czego mu najwięcej zazdrościłem. Niezaprzeczenie był też poetą. Ale nie miał uznania. Może mu brakło zaufania w swoje siły, może zbyt dobrze rozumiał świat, może był za dumny, lub cokolwiekbądź innego, ale nie ulegało wątpliwości, że nie miał uznania. I umarł w dwudziestym dziewiątym roku życia. Leży martwy w rządowym szpitalu, cichy i spokojny. O ile mi wiadomo, nie wykończył ani jednej z licznych prac, które, wiedziałem, że rozpoczął i zapewne cenił. Redaktor właściwie niewiele znał tego człowieka, wcale prawie go nie znał, ale zdawał mu się niemiłym.

Nagle jakiś chłód powiał na nas. Wy-
chyliliśmy kieliszki. Redaktor zapłacił
za dwie kanapki z szynką, i zamieniliś-
my jeszcze kilka słów o położeniu.

Zadzwoiłem i ja, zapłaciłem i wy-
szedłem. Brakło piętnaście minut.

— Do widzenia! Ty nie idziesz?

— Nie, redaktor, niestety, musiał być
obecny na otwarciu sejmku.

Skreśliłem w Askersgata w zamiarze
dostania się co prędzej na cmentarz Vor
Frelser.

Ciekawy zbieg okoliczności: właśnie
na pogrzebie, na tym samym cmentarzu,
zetknąłem się raz ostatni z moim zmar-
łym kolegą. Było to przed miesiącem.
Chowaliśmy wtedy jakąś panią, jakąś
bardzo poważaną damę, żonę wybitnego
męża stanu z lewicy. Zauważyliśmy
wtedy obaj, że w całym tym dużym or-
szaku nie było ani jednego konserwaty-
sty. A ci, którzy byli, czuli się tu obce-
mi. Między innemi znalazł się tam bie-
dny jakiś oficer, którego z tym domem
łączyły stosunki, więc nie mógł usunąć
się od udziału, choć jako konserwatyście
było mu niemiło w gronie postępowców.

Obrał więc drogę pośrednią: przyszedł w ubraniu cywilnym, a podczas mowy pogrzebowej w kaplicy ukrył się w kącie tuż przy wejściu. Bawiło nas to niezmiernie.

W drodze rozbieraliśmy też «położenie.» Mówiliśmy o całej tej pracy, która idzie na marne w takich stosunkach państwowych, jak obecne, i o tym, jak małą może być chęć do niej, skoro się żyje w naprężeniu z dnia na dzień, od rana do wieczora. Potym, przypominam sobie, mówiliśmy o mowach pogrzebowych. Utrzymywaliśmy, że gdyby je spisać, możnaby sprzedawać potrzebującym. Niepodobna wymagać od księży, którzy od ośmnastu wieków stają nad grobami, aby wymyślili coś nowego. Nam się zaś zdaje, że słyszemy niby katarynkową melodję, wszystko to, co już umiemy na pamięć.

Mój zmarły przyjaciel niewiele przywiązywał wagi do mów pogrzebowych, A właśnie dziś mieli przemawiać nad jego grobem. Dobrze przynajmniej, że nie będzie ich słyszał.

Nagle wstrzymałem tok myśli. Przez mózgownicę moją przedarło się niejasne jakieś wspomnienie: przecież nie na tym cmentarzu mają go pochować. Gdzieś-
indziej, ale Bóg raczy wiedzieć gdzie? na Sofienlund? nie, Sofienberg, na Dunderen i Valid, gdzieś pod Grünerlökka. Na cmentarzu dla ubogich przecie. Pod pewnym względem to i najśluszniej. Ale jakim cudem ja się tam teraz dostanę?

Tramwaj! Ależ naturalnie. Puściłem się szybko w drogę, chociaż błoto i kalosze przeszkadzały mi bardzo.

Kiedym znalazł się tak blisko wozu, żem go widział, ale nie tak jeszcze, żebym mógł wskoczyć, ruszył dalej. Tramwaje mają to do siebie. Dawać znaki, nie pomoże, wreszcie już skręca pod aptekę «Pod słoniem.» Trzeba będzie przeczekać pięć minut. Widocznie spóźnię się, nie może być inaczej. Ale teraz muszę już wsiąść koniecznie. A jeżeli nie będę słyszał całej mowy pogrzebowej? — no, Boże mój! trzeba to będzie przeboleć.

Tak rozważając, przeszedłem na chodnik pod kościołem Vor Frelser, oczeku-

jąc następnego wozu. I znowu opadły mnie wspomnienia.

Gdzieśmy się to rozstali wówczas? Aha, na Youngstorge, przypominam sobie dokładnie. Na rogu Torggata. Tam przystanęliśmy jeszcze nieco i obgadywaliśmy policję chrystjańską. Ostatnie moje słowa były niewątpliwie: Do widzenia, śpieszę na obiad!

Wyglądał mizerniej, niż zwykle. Siłaczem nie był nigdy, ale zdawał się energicznym, czynnym, umiejącym sobie dawać radę w każdym położeniu. Było coś hardego, wyniosłego, w tym drobnym, szczupłym mężczyźnie, a z czoła jego biła duma. Uplaz górski tak stromy, że zgoła niedostępny, a wiedzący o tym, mógłby wywołać podobne wrażenie. Oko jego patrzyło z dobrotliwym szyderstwem, z pod powiek strzelał uśmiech, cienkie usta możnaby nazwać piękniemi, a nos mały, ostroliniowy umiał się w górę podnosić z pewną zuchwałą dumą!

Jak on świetnie wyglądał, wojowniczo w całym tego słowa znaczeniu; jak oko mu błyszczało, a cała drobna, chuda

twarz jaśniała radością, gdy znalazł wyraz dostatecznie gryzący lub trafne porównanie, gdy był w dobrym humorze, na przykład podczas uczyty, gdy podniósł się i przemawiał «na cześć radcy stanu Selmera, który był jako ów stary świerk od wiatru pochylony, wyrastający ponad bagniskiem, ciemniejący, tracący gałęzie i opuszczony przez ptaki niebieskie» lub «na cześć» konserwy, która przepowiada swój blizki koniec, nie troszcząc się o to, jak się wreszcie sprawa rozstrzygnie; albo gdy w kółku dobrych znajomych puszczał się na żarty i drwiny z tego, co w jego oczach nie było świętością! Żaden zwrot nie był mu za silny, gdy się rzucał na wszystko «co zgniłe,» co «przeżyte», na wszystko, co «stało na drodze i tamowało rozwój lub co «leżało i rozkładało się szeroko, a zaciemniając, dławilo wszelkie życie.» Widziałem też to oblicze bledniejące od ognia wewnętrznego, kiedy oko — mieniąc się zielonością — rzucało iskry elektryczne, gdy z zapalem mówił o tym, co «pcha sprawę naprzód» i o tych, którzy «idą przed siebie.»

Ale ostatnim razem, kiedym go spotkał, nie był takim... przeciwnie, zdawał mi się cichym, smutnym. Nikły, żółty zarost okalał mu wargi i śpiczastą brodę, a twarz miała wyraz zniechęcenia i znużenia. Oczy wpatrzone przed siebie wydawały się większe, niż dawniej, a w białkach ich zauważyłem jakiś błysk szczególniejszy, którego przedtym nie dostrzegłem. Gdy się uśmiechał, nie było już w tym uśmiechu wyższości, słodycz jedynie, a głos miał miękki, jakby złamany. Widocznie był wtedy niezdrów. Ale jeszcze się trzymał jako tako. Mimo to doznawał czasami dziwnych uczuć, opowiadał mi na przykład, że idąc spokojnie, zdawało mu się czasem, iż ulica podnosi się z nim razem, a on idzie niby górą, po powietrzu. Sam rozumiał, że to osłabienie. Ja dodałem od siebie, że powinien uważać, bo tego rodzaju objawy, chociaż niegroźne, nie są dobre. Przedewszystkiem radziłem mu żyć inaczej, innemi słowy trochę lepiej, a przytym wystrzegać się wszystkiego, co mogłoby mu głowę zaprzątać. Niewiele odpowiedział na moje życzliwe

słowa, lękam się, że go ubawiły moje rady lepszego urzędu sobie życia.

Nareszcie tramwaj nadjechał. Znalazłem w nim znajomego, który także dążył na pogrzeb.

Był to człowiek młody, dobrze wyglądający, ubrany przyzwoicie, w kapeluszu filcowym na głowie. Zachowanie się jego było spokojne, pewne siebie. A chociaż był Norwegiem, używał języka duńskiego, jak gdyby ten dodawał mu znaczenia. Może być przyczyną tego było jego stanowisko—był bowiem nauczycielem.

Utyskiwaliśmy obaj, żeśmy zapóźno wyjechali. Jego wstrzymał tłum przed gmachem sejmowym. Wszyscy wylegli oglądać króla; wogóle widoczne było, że w tych dniach jakiś niepokój trawi umysły ludzi.

Wóz turkotał głośno po Storgacie. Musieliśmy krzyczeć, chcąc się słyszeć, ale mój znajomy miał głos donośny.

W przerwie rzuciłem pytanie, dotyczące zmarłego.

— Ha, biedny chłop — westchnął — mógłby żyć jeszcze. Właśnie teraz by-

łoby go to ożywiło, gdyby się znajdował na uroczystości otwarcia sejmu... wszak tak lubił życie publiczne.

Przyznałem mu słuszność, a potem zapytałem, czy był u niego w czasie ostatniej choroby.

Tak, należał do tych dwóch lub trzech sprawiedliwych, którzy odwiedzali go czasami. Ale nie można go już było ożywić. Siedział prawie bez przytomności.

— Bez przytomności?

— Właściwie, nie to. Ale całkiem zobojętniały. Nie pamiętał nic, niczym się nie interesował. Gdy go się o co pytano, odpowiadał przeważnie bez związku.

— A więc to głowa?

— Wszystko razem. Był całkowicie wyniszczony. Zdaje mi się doktorzy mówili coś o tuberkułach w całym organizmie. Nie było w nim już nic soków żywotnych.

— Bardzo cierpiał?

— Nie. Czasami skarżył się tylko na ból głowy. Zresztą nie przypuszczał, że to coś poważnego.

— Czy rozumiał, że traci przytomność?

— Bynajmniej. Był przekonany, że myśmy pogłupieli, utrzymywał, że nie sposób rozmawiać z nami rozsądnie. A zwłaszcza podejrzywał swojego doktora.

— On nie pożyje długo, ten chłop — mówił do nas — on już dziś jest poprostu nie przy zdrowych zmysłach.

— A czy jesteś pewny, że to nie ty tracisz czasem przytomność? — zapytałem.

— Jak mi Bóg miły, i to być może! — odparł.

Wyraziłem zdumienie, jak to wszystko prędko poszło. Dopiero co był tu, między nami, nie więcej jak przed rokiem, taki zdrów, pełen otuchy, jakim go rzadko widywałem. Zdawał mi się nawet zadowolony z życia, zamierzał się ożenić.

— Tak, wtedy było mu dobrze. Ale to był już ostatek. Na ogół źle mu się powodziło w ostatnich czasach. Zdaje mi się, że nikt nie umiałby powiedzieć na pewno z czego się utrzymywał. Pisywał dość, miewał tu i owdzie odczyty, ale cóż mu to przynosiło? W szkole



mógłby był otrzymać miejsce, ale nie chciał. Nie miał nerwów odpowiednich, a może i sił.

— A rodzina jego?

— Z familji miał tylko dwóch starych krewniaków, z tych jeden był bogaty. Ale cóż z tego, z bogatym krewnym pogniewał się...

— To było nierozsądnie.

— Tak, zapewne. Zresztą właściwie nie on zerwał. Był dumą swej rodziny. Pamiętam dobrze jego przyjazd do domu: właśnie został studentem, wrócił, jak prawdziwy tryumfator, zdał dobrze egzamin, miał talent, zapał; był poetą, mówcą, wszystkim — uważano go za coś wielkiego. Potym wrócił do miasta. Wtedy powoli dał się wciągnąć ludowcom, stał się Grundtvigianinem i liberałem — w końcu porzucił wszystko i został nauczycielem w wyższej szkole ludowej. Tym zamknął sobie przyszłość. Wszystko się skończyło.

Odtąd szło coraz gorzej — mówił dalej mój nieznajomy. — Jakkolwiek gwałtowny, w innych okolicznościach byłby może wytrzymał w szkole ludo-

wej, ale później stało się to niemożliwe. Porwały go nowe idee. Czytywał Ernesta Sarsa, czytywał Jerzego Brandesa; zamiast zagłębiać się w Grundtvigu, studjował Buckla. Był to ciężki, przejściowy okres dla nas... te ostatnie lata, i nie pod jednym względem. Wtedy to porzucił posadę w szkole... przeniósł się do Chrystjanji i zamierzał poświęcić się nauce i filozofji, a przytym pisać książki.

— I wtedy weszła mu w drogę ta nieszczęsna polityka.

— Pan wie, jak to było... zwłaszcza my, nauczyciele, którzy na ogół musimy trzymać się zdala od wszelkich spraw krajowych i tym podobnych... w takich czasach trudno oddawać się z zamiłowaniem swojej pracy. Żyje się w bezustannym niepokoju, czeka się na coś, co ma zmienić wszystko z gruntu i zamiast zabrać się do pracy, biega się po kawiarniach, cukierniach, aby przejrzeć najświeższe dzienniki i przekonać się, że nic nie «słychać.» Jestem pewien, że i obecnie wielu jest takich, którzy nic innego nie robią, tylko kręcą się po kawiarniach i politykują.

— Nie mnie to opowiadać — odezwałem się — znam to aż nazbyt dobrze.

— Przyjaciel nasz — ciągnął tamten dalej — rozumie się, został wkrótce wciągnięty w ten wir, i tak naukę, jak i filozofję odłożył na bok.

— Ale żył tak długo życiem wyższej szkoły ludowej, że trudno mu było nauczyć się języka nowych czasów. Z katedry przemawiał za rozbudzeniem i oświecaniem wzrastającego pokolenia; to, co miał teraz mówić lub pisać, powinno było brzmieć mniej więcej tak samo: wielkie ogólne myśli wypowiedziane w wielkich, powszechnie zrozumiałych słowach. On musiał być zawsze zachwycony albo zły. Cóż więc miał robić? Pisma redagować nie mógł, gdyż nie był przywódcą żadnego stronnictwa politycznego. Do drugorzędnej zaś pracy w dzienniku nie mógł go nikt przeznaczyć, nie była godną jego. Jednym tylko mógł zostać. Jak panu wiadomo powstał obecnie nowy stan — mówcy ludowego — odpowiedni dla niego. Ale żyć z tego nie można. A przytym jestem przekonany, że niebawem polityka

znudziłaby mu się. On umiał mówić tylko o wielkich rzeczach... to robił dobrze, nadzwyczajnie. Ale wielkich rzeczy nie starczy na długo.

— Pozostało więc pisanie do dzienników od wiersza. Co tu u nas dostać można za jedną szpalte? Dwie, pięć... dziesięć koron. Noo... daleko tym nie zajedzie! A przekłady popłacają jeszcze mniej.

— Pisywał naturalnie do najgorszych dzienników. A artykuły jego, to, jak panu wiadomo, o pomstę do nieba wołające zamachy na veto absolutne, które po małych miastach uważane jest za kamień węgielny świata, za równoznaczne z monarchją, chrześcijaństwem i unją pomiędzy Norwegją i Szwecją. Łatwo przewidzieć, że nikt nie chciał mieć nic wspólnego z kimś kto się tak źle pokierował.

Przytakiwałem mu.

— Szło więc gorzej, coraz gorzej. Nic nie wspominał nikomu, a najmniej tym, od których mógł się spodziewać pomocy... a bywało z nim bardzo źle. Zdarzały się czasy, w których nie wiedzie-

liśmy wcale, gdzie się podziewa. Zapraszał go ten i ów, prosiliśmy, aby przyszedł, kiedy będzie miał ochotę... że sprawiłby nam prawdziwą przyjemność, gdyby tu i owdzie zajrzał do nas na obiad i t. d. Ale się ani pokazał. Biedak, miał swoje skrupuły.

— I patrzyliśmy na to wszystko, nie domyślając się niczego. Nie zauważyliśmy nawet!

— Ach, poznać to było łatwo po wylewach jego goryczy. Jak słyszałem, umiał być nieznośny, gdy go napadł zły humor. A zdarzało się to zapewne często. Niezbyt szczęśliwie układa się, naturalnie, życie dla tego, kto znajduje się w podobnym położeniu. Nie można przypuszczać, aby taki tryb życia nie podkopał sił jego.

— Ależ to nie mogło być jedynym powodem! — wtrąciłem.

Wzruszył ramionami. — Być może, ale naturalnie wiele się przyczyniło.

Dotarliśmy do miejsca, gdzie należało wysiąść. Kilka minut drogi jeszcze nas oddzielało od samego cmentarza.

— Więc rzeczywiście możnaby o nim

śmiało powiedzieć, że tu spoczywa człowiek, który się zmarnował, który... no, powiedzmy po prostu: który umarł, ponieważ się źle pokierował — odezwałem się, gdyśmy wysiedli z tramwaju.

— Nie, tego nie mogę powiedzieć. Mógł być wybić się tak dobrze, jak każdy z nas, gdyby był posiadał choć odrobinę zastanowienia.

— Ale jeżeli go właśnie weźmiemy tylko takim, jakim był.

Znajomy mój znów wzruszył ramionami.

Czegoś podobnego nigdy nie można z całą stanowczością twierdzić — powiedział. — Jeżeli człowiek jakiś się zmarnuje, nie można nic innego powiedzieć, jak to, że Opatrzność tak chciała.

— Ach, tej łatwo jest wszystko przypisać — mruknąłem.

U wejścia na cmentarz stała mała budka drewniana z krzyżem na szczycie. Weszliśmy. Budka ta bowiem jest tutejszą kaplicą cmentarną.

Uboga, czarna trumna stała na dwóch kozłach, na środku kaplicy, naprost wejścia. Przybrana była w wieńce z wstęgami barwy norweskiej. Niedaleko, na

kilku innych kozłach stała trumienka dziecięcia jeszcze uboższa, jeszcze czarniejsza, bez wieńców i szarf. Niebawem weszło kilku ludzi, niosących jeszcze jedną trumienkę, którą postawili również na kozłach. Tak więc przyjaciel nasz miał się dostać do ziemi w gronie dzieci.

Nie spóźnił się bynajmniej. Trzeba było nawet jeszcze czekać, ksiądz chował jakieś inne zwłoki... ruch panował na cmentarzu, jak zawsze w takie dni wiosenne; a był tylko ten jeden ksiądz na miejscu, proboszcz tutejszy znajdował się na uroczystości otwarcia sejmu. Musieliśmy to przyjąć ze spokojem i uzbroić się w cierpliwość.

Śmierć ma w sobie coś, co sprawia, że człowiek, znalazwszy się wobec niej niebardzo się niecierpliwi. Czekaliśmy w milczeniu. Orszak pogrzebowy składał się przeważnie z jego przyjaciół robotników. Z inteligencji dojrzałem zaledwie dwóch lub trzech najwyżej, wliczając w to i siebie. Wszyscy byli w Storthingu. Konserwatysty, rozumie się, ani jednego.

Na ogół byliśmy odświętnie, dobrze ubrani... ale filcowych kapeluszy zauważyłem niewiele. Można było natomiast zobaczyć surduty, które niejednego w świecie doświadczyły. Żaden z nich chyba nie znalazłby się wysoko na liście szacunkowej. Wogóle sprawialiśmy wrażenie, jak gdybyśmy wszyscy pochodzili z ludu — taka w nas była powaga.

Po chwili nadszedł ksiądz i rozpoczęła się ceremonja. Robotniczy chór śpiewacki prześpiewał pieśń, ułożoną na ten obrzęd, w której podnoszono przede wszystkim wiarę zmarłego w przyszłość. Potym ksiądz wygłosił mowę, była krótka.

— Ponieważ stoimy u tej trumny — powiedział — muszę przypomnieć słowa starego Symeona:— Panie, teraz pozwól słudze Twojemu odejść w pokoju; albowiem oko moje widziało zbawienie Twoje.

W słowach tych, jego zdaniem, leży główna myśl chrześcijaństwa, a zwłaszcza szczególnie pocieszającym jest dla nas, przypomnienie ich sobie u tej tru-

mny, — gdyż tu leży człowiek młody, utalentowany — ksiądz zresztą nie znał go zbyt blisko — a przyjaciółom jego, zebranych tu, aby go odprowadzić na miejsce wiecznego spoczynku, wydaje się słusznym z żalem powiedzieć głośno, że zabrano go za wcześnie, odwołano, zanim cel jego życia tu, na ziemi został osiągnięty. Myśl ta, naturalnie, musi uczynić rozstanie tym cięższym i boleśniejszym dla jego przyjaciół. Ale nie powinniśmy tak myśleć. Bo jak prawdą jest, że człowiek ten, podobnie do Symeona, ujrzał już Zbawienie Pańskie, jak prawdą jest, że, jak Symeon zobaczył już i poznał Zbawiciela z Betleemu, jak prawdą jest ten wypadek, tak również zgodnie z prawdą możemy powiedzieć, że osiągnął cel swojego życia, że nie odszedł za wcześnie, lecz istotnie był gotów.

Potym nastąpiła nauka dla nas.

Ksiądz był człowiekiem młodym, mówił spokojnie i przyjemnie, przeważnie głosem naturalnym. Lepiej, że nie wiedział, co człowiek, nad którego grobem przemawiał, myślał i sądził o Zbawicie-

lu Betleemskim, nie można też było nic zarzucić jego zresztą prawdziwym słowom. Nie było się też czemu dziwić, jeżeli skorzystał ze sposobności, aby powiedzieć kilka ogólników liberałom, którzy się tu zebrali, gdyż pomiędzy nimi znajdują się też i grzesznicy. Ale ja stałem cały czas wpatrzony w trumnę i myślałem nad tym, cośmy z tym, który obecnie w niej leżał, mówili przed miesiącem o mowach pogrzebowych, i zdało mi się, że ta czarna masa stała się przezroczystą: ujrzałem twarz jego i usta, te małe, blade, ostro zarysowane usta, i zdało mi się, że te usta drżą lekko, a kąciki ich, te delikatne, sarkastyczne kąciki podniosły się w górę, tworząc grymas.

— Amen — zakończył ksiądz.

Wtedy zbliżył się zakrystjan z małą skrzynką, pełną ziemi i malutką zgrabną łopatką. Z tą ostatnią w ręku ksiądz odstąpił od trumny, nad którą przemawiał i podszedł do dwóch małych trumienek, nad którymi nie przemówił, lecz rzucił na nie trochę ziemi tak, jak stały:

— Z prochuś powstał, w proch się

zamienisz i z prochu znów zmartwych-
wstaniesz — i znów to samo.

To mi się podobało, to mi się wyda-
wało zupełnie naturalnym. Byłem prze-
konany, że tych dwoje biednych dzieci
stanie na sądzie ostatecznym tak samo
wesoło, jak każdy z nas, chociażbyśmy,
zaznawszy dość biedy, umierali w takim
dobrobycie, żeby nas złożono do ziemi
bez skróceń obrządku, jak te biedactwa.

Poczym ksiądz znowu przystąpił do
naszej trumny. Prześpiewano zwrotkę
pieśni, i czterech ludzi wystąpiło na-
przód, ustawiając się w koło trumny:
dwuch w głowach, a dwuch w nogach.
Dwuch przewodników stanęło za trum-
ną ze swojemi czarnemi buławami. Bu-
ławy nie były tak wspaniale, jak te,
które są w użyciu na cmentarzu Vor
Frelser, ale w każdym razie dodawały
pompy. Na dany znak, pochód ruszył.
Z przyczyn naturalnych orszak nie uło-
żył się według stopni hierarchji społecz-
nej — zdaje mi się, że najpierw szli ci,
którzy mieli siwe brody.

Z wież kościelnych odezwały się
dzwony miękkie, łagodne. Droga była

niedaleka: kilka stopni na północ od kaplicy wyznaczono na miejsce spoczynku dla mojego przyjaciela. Ciasna to była przestrzeń, ale on nie potrzebował jej dużo. Zawsze był drobny i szczupły.

Grób jego znajdował się tuż obok innych, jeszcze nieprzyrzuconych. Nasuwało się przypuszczenie, że trumny umieszczano jedną na drugiej, jak gdyby drugą warstwą — ale cóż to szkodziło umarłym?

Na dość wysokie wzniesienie, które wytworzyło się z tego nagromadzenia grobów, wspinali się zręcznie najpierw przodownicy, potym znalazła się tam trumna, kołysząc się i chwiejąc, niby łódź na burzliwym morzu, gdyż tym, którzy trumnę nieśli, trudno się było dostać na górę. Za ciałem podążał kościelny, który pomagał wchodzić księdzu; dalej chór kościelny, a wreszcie ci z pośród nas, którzy mieli białe brody. Wszyscy sapali i z mazołem wstępowali na górę, a dostawszy się wreszcie, starali się na niej utrzymać. Znalazł się więc nasz przyjaciel na końcu swej

ziemskiej wędrówki na morzu i to na burzliwym morzu.

Ale była też to i ostatnia przeszkoda, którą spotykał na swej drodze. Wciągnięto wreszcie trumnę ponad grób — tu stanęła na pewnym gruncie. Tu się też kończyła jego wędrówka.

Chór kościelny, składający się z trzech mężów, wykonał na trzy głosy pierwszą zwrotkę psalmu: «Kto wie, jak blizki jest koniec jego.» Używali oni innych brzmień, niż zwyczajni ludzie, boć przecież śpiewali napół łacińskimi słowy. Potym ksiądz rzucił na trumnę trzy grudki ziemi, przemawiając do zmarłego słowami rytuału.

My, reszta obecnych, braliśmy udział w obrzędzie w ten sposób, że kilkakrotnie zdejmowaliśmy kapelusze i przyslaniali sobie niemi oczy, ale nie jestem pewny, czy który z nas wiedział, dlaczegośmy to czynili.

Opodal stały dwie młode kobiety: jedna z nich, wspierając się na towarzyszce, płakała bardzo.

— Otóż legł. Nie danym mu było ujrzeć przyszłości, o której marzył, ale był

gotów. Jego osobiste życie zmarnowało się. Ale co tu mówić? Niema co mówić.

To też nikt nic nie powiedział. W innych okolicznościach byłby się zapewne znalazł ten i ów, któryby miał ochotę odchodzącemu powiedzieć kilka słów pożegnania, podziękę, życzeń na drogę wieczności od tych, którzy go znali, od przyjaciół i kolegów, a może i od kraju, który tak chłodno przyjmował jego miłość. Ale dziś mieliśmy wielkie, polityczne «położenie.» A ku ogólnemu zdumieniu okazało się, że było dopiero kilka minut po pierwszej. Dołożywszy starań, mogliśmy jeszcze być świadkami bodaj koniuszeczka parady.

Puściliśmy się pędem.

W ulicy Torwalda Meyera zobaczyliśmy tramwaj, sunący ku nam spokojnie po domowemu... niewiekszy od pudełka zapalek. Daliśmy znak — stanął. Nikogo nie było w wozie. Wpadliśmy do środka i wypełnili go.

— A teraz kawalerska jazda! — zwróciliśmy się do konduktora. Uśmiechnął się uprzejmie. Jechaliśmy więc posuwać naprzód «położenie.»

W stowarzyszeniu młodzieży.

Właściwie stosunki u nas, w Norwegji, z dawien dawna ułożyły się bardzo dobrze, i wszystko mogłoby iść jak najlepiej, gdybyśmy tylko byli, jak należy.

Ale takimi niezawsze jesteśmy, to też bywa, że źle się dzieje. Wtedy szuka się środków zaradczych. Szacowne jakieś pióro odezwie się w «Kurjerze porannym,» inni zacni mężowie roześlą nawoływanie, zbierze się wiec, założy stowarzyszenie. Stowarzyszenie rozwija się, kwitnie, a świat źle idzie, jak źle szedł.

Zacni mężowie zauważyli między innymi, że niezawsze tak jest, jak być powinno z młodzieżą, która niekiedy puszcza się na bezdroża. Założyli więc Towarzystwa opieki. Istnieje tedy Stowa-

rzyszenie Młodzieży i Chrześcijańskie Stowarzyszenie chłopców, odbywają się zebrania i zgromadzenia pod różnemi nazwami. Wszystkie te stowarzyszenia kwitną i są błogosławieństwem Bożym, a młodzież schodzi na manowce, jak schodziła.

Pewnej niedzieli, z początkiem czerwca, miała się odbyć popołudniu doroczna uroczystość w ewangelickim Stowarzyszeniu Młodzieży.

Zarówno «Chmura» jak «Tyrolczyk,» wybierali się. Chmura zaproponował, abym im towarzyszył. Dobrze ci to zrobi — oświadczył. Tyrolczyk milczał wprawdzie, ale zdawał się być tego samego zdania. Nie byłem przeciwny tej przyjacielskiej radzie; Stowarzyszenie młodzieży ewangelickiej rzeczywiście najbardziej mi odpowiadało.

Przybyłem świeżo do wielkiego miasta i uważano mnie za takiego, jakim byłem w rzeczywistości, to jest bardzo słabo utwierdzonym w wierze. Duch święty począł mnie już czasami nawiedzać, Bogu niechaj będą dzięki za to! ale właściwie upodobania moje i myśli cią-

żyły do świata, a zwłaszcza szatan trzymał mnie jeszcze mocno w swoich szponach przez moje zamiłowanie do teatru.

Bywałem w nim często, na miejscach po ośmnaście szylingów albo, gdy kruchoch było, po dwanaście; powtarzałem sobie w duchu, że choćby teatr miał mnie zawieść wprost do piekła, będę tu chodził.

Wiedziałem, że to przecież nie potrwa długo... wcześniej czy później nawrócę się i wejdę na dobrą drogę. Wiedziałem, że światowa rozkosz spokoju mojej duszy dać nie może — słyszałem to tyle razy, a przytym trudno było przewidzieć, jak długo człowiek będzie mógł tak żyć, licząc na cierpliwość Pana Boga. Na cienkiej nitce wisi się ponad otchłanią piekielną, każdej chwili może się nic przerwać i zabawa skończona!

Ale nie należałem do tych, którzy mogą być zbawieni w zwykły sposób. Lekkomyślne miałem usposobienie i płochy umysł; trwoga przed życiem przyszłym nie nawiedzała mnie nigdy: cóż z tego, że się nawet przyznawał do grzechów, skoro nie czułem skruchy i żalu? Mój

największy grzech, występne życie z In-
gą Grönlid, był mi drogi i nie moja wi-
na, że się skończył.

Jeżeli bym miał być zbawiony to, że
się tak wyrażę, musiałoby się stać nie
po mojej woli — bez mojej wiedzy.
Mnie musiano by wciągnąć przez ciasną
furtkę. Zwabić, wprost uwieść musieli-
by mnie do Królestwa niebieskiego. Czy
też Stowarzyszenie młodzieży potrafi
mnie uwieść? Nie zdawało mi się to
tak bardzo nieprawdopodobnym. W pa-
ragrafach statutu swego mówiło ono o
«ognisku domowym» o «życiu koleżeń-
skim» o «poważnych zadaniach życia»
i «duchu prawdziwie chrześcijańskim» —
czegoś takiego potrzebowałem.

Jak na złość tego wieczora dawano
«Marję Stuart» ¹⁾ na dochód pani Gun-
dersen, i anim się spostrzegł, kiedy me-
nuet Nordraaka ²⁾ począł mi brzmieć
w uszach i wabić mię. Ale wszystko
to, naturalnie, odsuwałem od siebie, sko-
ro miałem myśleć o poważnych spra-

¹⁾ Dramat Björnsona.

²⁾ Znakomity, młodo zmarły muzyk.

wach. Właśnie już zacząłem — boć raz przecież zacząć trzeba. W gruncie rzeczy ofiara moja nie była znów tak wielka. Cóż mogła mi pomóc nieskazitelna gra pani Gundersen, skoro muszę mimo to umrzeć? lub cóż za pociechę znaleźć bym mógł w muzyce Nordraaka, gdy mi przyjdzie stanąć na Sądzie?

— Urządziliśmy sobie sjęstę — jak się wyraził Tyrolczyk — i dobrze nam było. Piliśmy kawę i palili fajki. Poprzez szyby łagodnie przeświecało słońce; przez otwarte na korytarz drzwi dochodziło świeże powietrze. Z ogrodu, przed nami leżącego i ze wszystkich ogrodów przedmieścia, z łąk i z lasów otaczających płynął na nas silny dech gorącego lata, który nas oszałamiał.

Cisza panowała w naszym pokoju. Tylko osa bzykała, tłukąc się o powałę; zabłąkała się tu z ogrodu i nie mogła znaleźć drogi napowrót.

Drobne, szare promienie pyłków wirowały w słonecznym blasku, to się wznosiły, to opadały i znikaly.

W powietrzu panowała senna cisza, skłaniająca do cichych, spokojnych marzeń. Miasto dawało się słyszeć przez drzwi z korytarza, niby odległy jakiś szum — być może nawet, że to było tylko powietrze. Wielka, jasna cisza letnia wytwarzała szczególniejszą ochotę do drzemki.

Leżałem na starym, twardo wysłanym tapczanie i pociągałem z długiej, studenckiej fajki. Statut Stowarzyszenia trzymałem w ręku, ale przestałem czytać. Nie myślałem też o niczym. Tylko od czasu do czasu przemknęła mi przez głowę jakaś myśl senna i płochliwa. Ach, jak dobrze tym, którzy się już nawrócili! — Właściwie niema sensu nawracać się w taki śliczny czas. — Gadanie! Było też z czym wyjeżdżać! Wymawiać się pogodą — też coś!

Na ukos odemnie, po drugiej stronie stołu siedział Chmura w swoim domowym, szarym kitlu. Zdawał się czytać, co leżało przed nim, ale i on właściwie nic nie robił, tylko palił. Wielka, czupurna głowa, jak zwykle, przechylona była na bok, niby jej się marzyła po-

duszka, a po czerwonej, dobrodusznej, chłopskiej twarzy o małych, zaczerwienionych oczach rozlewał się błogi spokój, bezpośredni skutek rannego nabożeństwa.

Tyrolczyk, wysoki, szczupły, o włosach czarnych z granatowym odcieniem i twarzą śniadą, rozciągnął się jak długi w krześle bujającym, palił i czytał «Norweskie misje.» Po chwili podniósł głowę, odłożył dziennik, spojrzął na zegarek i wstał. — Man muss sich drappieren — powiedział i zaczął ubierać się powoli i starannie.

A ubrać się umiał Tyrolczyk! Sporo czasu temu poświęcał, ale przynajmniej umiał coś z siebie zrobić — ładny był, jeżeli chciał. Przyczyniał się bardzo do tego czarny, świąteczny garnitur, który posiadał. — Dziś wysunie się w nim bezwątpienia — pomyślałem. A już samo to wprawiało mnie w uroczysty nastrój.

Po chwili przeciągnął się i Chmura. Spojrzął na zegarek i podniósł się z krzesła, mówiąc swym cichym głosem, że wkrótce, zdaje się, trzeba będzie pomy-

śleć o wyruszeniu. Poszedł pod piec, odstawił fajkę i splunął — musiała być gorzka. Napół zwrócony do mnie, a ni-
by przed siebie powiedział:

— Jakże więc będzie, myślisz pójść z nami?

Zastanowiłem się. Dziś była widocznie chwila łaski — raz przecież trzeba to zrobić. Więc z cichym pożegnaniem do Marji Stuart w Szkocji głośno odpowiedziałem: — tak, sądzę... sądzę, że pójdę z wami... także.

Ach to dobrze, to bardzo dobrze — odparł i począł zdejmować z siebie domowy surdut.

Obchód miał się odbyć o godzinie piątej, w domu modlitwy przy ulicy Hausmana; pastor Hermansen miał rozpocząć. Ja, który nie posiadałem nic do przewdziania, miałem jeszcze dość czasu. Siedziałem więc dalej i w duchu przechodziłem raz jeszcze wszystkie argumenty, przemawiające za pójściem do teatru. Prawdę mówiąc, zły byłem — właśnie dziś miałem i monetę! Ale nie był to argument, który wystarczał dla mnie, cóż dopiero mówić o Chmurze.

A jakim spojrzeniem swoich wypukłych, ciemnych oczu obrzuciłby mnie Tyrolczyk.

Wreszcie byliśmy gotowi. Strasznie ładnie wyglądali dziś obaj. Chmura jeszcze na ostatek oczyścił się szczotką gruntownie. Gdym to zobaczył, ruszyło się we mnie sumienie. — Jak cię widzą, tak cię piszą — pomyślałem, wstałem i wziąłem w rękę szczotkę. A teraz do kapelusza... gdzie u kaduka go położyłem?... A gdyby się też nie znalazł!

Ale gdzieby też? Otóż Tyrolczyk idzie z nim. Znalazł go na ziemi pod komodą. Że też on zawsze taki chybki w odszukaniu wszystkiego, ten Tyrolczyk!

Wyszliśmy.

Był prześliczny, letni, świąteczny dzień; słońce stało na zachodzie, rozprażone do białości. Na północy, ponad wzgórzem widać było małą, jasno-szarą chmurkę, zapowiadającą deszcz. Tyrolczyk, dla pewności, wrócił po parasol.

Jasno-zielone, dziewiczo-świeże drzewa stały, młodym liściem okryte. Trawa i żółte kwiatki w gorącej żądzy życia

pchały się mozolnie z twardej ziemi na wierzch. Bzykały i furczały rozmaite drobne jestestwa, bujające wokół, powstawało to, rosło i chciało trwać wraz z potężnym słońcem. Jasno-barwne motyle, białe, jak lilja lub ogniście-żółte, oszołomione latały w pośród kwiatów, pełnych wdzięku, jak one same.

Na ulicach było duszno, a słońce paliło. Ludzie snuli się postrojeni; co krok nasuwał się nam przed oczy świat i jego pokusy. Małe, wesole grupki kobiet i mężczyzn wracały pieszo lub na wozach z pól i lasów; a zawsze kobiety z mężczyznami razem; zawsze ze śmiechem i zabawą — same jasne stroje, kwiaty, zielen, wesele. Ach, gdyby oni wiedzieli, co im da spokój!... ale to zakryte dla ich oczu. Spaleni od słońca, zadowoleni, wracali z pustymi koszami, a nie wyglądali bynajmniej, jak gdyby zaprzepaścili dusze swoje; wielu z nich popiło się nawet. Wesole grupy młodych dziewcząt: kelnerek, szwaczek, panien sklepowych przebiegały obok nas w radosnym pośpiechu. Gwarząc i śmiejąc się, szły w swoją drogę, mie-

rząc nas bystreimi oczyma. A zawsze ostatnie spojrzenie dostawało się Tyrolczykowi... złościło mnie to, alboż to ja brzydki jestem, czy co?

Za dziewczętami szli chłopcy rozmaitego stanu: wielcy, ciężcy czeladnicy w letnich spencerach, czarno ubrani, zakurzeni artyści i studenci z łaskami, w okularach, z cygarami w ustach, dumając nad tym, jakie też przygody czekają ich dzisiejszego wieczoru. Byli między nimi i panowie niewiadomych zawodów, ale wszyscy zdawali się zgadzać na pewnym punkcie a mianowicie: ani jednej myśli nie poświęcali swojej nieśmiertelnej duszy, a Pan Bóg patrzył na to wszystko i nie grzmiał!

Ja i moi przyjaciele szliśmy prostą drogą do celu, niemal w całkowitym milczeniu. Rozmawialiśmy trochę o pastorze Hermansenie, zresztą zamieniliśmy chyba tylko kilka obojętnych słów o pogodzie.

Z każdego rogu ulicy uderzały w oczy afisze teatralne: Marja Stuart w Szkocji, muzyka Ryszarda Nordraaka! Za kilka godzin podniesie się zasłona, rozpocznie

się taniec w starożytnym zamku królewskim, szesnaste stulecie powstanie z grobu i zatańczy menueta. A temu uroczystemu płasaniu wtórować będą tony, przypominające jesienny wicher, szumiący w starym dębie. Słyszałem je znów: poczęły falować i dzwonić w uszach, kusząc mnie.

Wtym przed nami ukazał się dom modlitwy. Był to duży, czerwony, muryrowany budynek z wysokimi, wąskimi oknami, jak w kościele. Wejście było otwarte, jak rozwarta, głodna paszcza. Stary Adam jeszcze raz odezwał się we mnie, ale został pokonany. Menuet Nordraaka przycichał, a wreszcie zamarł zupełnie. Biały kwef Marji Stuart ukazał się i znikł, niby w gęstwie leśnej. Westchnąłem, uzbroiłem się w cierpliwość, porzuciłem nadzieję rozrywki i kroczyłem prosto w otwartą paszczę, mając przy każdym boku dobrego przyjaciela.

Uciekać nie było sposobu. Zresztą i nie myślałem o ucieczce. Świat ze wszystkimi swemi rozkoszami nie mógłby na długo użyzyć duszy mojej

uspokojenia; wcześniej lub później muszę i tak zawrócić z błędnej drogi — a przytym byliśmy już pod progiem.

Weszliśmy do niezmiernie dużej sali, podłużnej, o ścianach bielonych i oknach od północy. Dla nas, wchodzących z jaskrawego, oślepiającego blasku, było miłe to przyćmione światło. Również dobrze działał na nas ten chłód; powietrze jednak zdawało mi się nieco duszne.

Na wewnętrznej ścianie, naprost drzwi wisiała duża, czarna, ścienna tablica, nadająca pokojowi wygląd izby szkolnej. Tablica ta była otoczona wiązaną choiny, na znak, że tu odbywa się dziś jakaś uroczystość. Podłoga była układana w kostkę, a krzesła i ławki zgromadzone razem w rogu przy wejściu. Nieco dalej, w głębi sali, na prawo stał wielki stół nakryty; dojrzałem przygotowane kromki chleba z masłem. Dalej jeszcze ustawili się przybyli goście w zwarty szereg, a raczej w dwa szeregi, zostawiając przejście w środku sali. Najwyżej, pod samą tablicą stała mównica, a właściwie zwykła katedra nauczycielska.

Przystąpiliśmy do jednego z dwóch szeregów, a mianowicie na prawo; a kiedy już stanąłem pewnie i znalazłem miejsce dla moich rąk i pleców, począłem rozglądać się w tym zgromadzeniu młodzieży, która zerwała ze światem i jego uciechami.

Byli to stateczni, poważni ludzie, przeważnie subjekci lub czeladnicy, trochę studentów. Zachowywali się zupełnie cicho. Stali, mniej lub więcej wygodnie, jeden tuż obok drugiego; wyglądali, jak gdyby skupili się do wspólnej obrony. Niektórzy rozmawiali, ale półgłosem — zauważyłem też czasem u któregoś z nich uśmiech, zwłaszcza wśród tych, którzy stali wpodłuż sali.

Zdawało mi się, że to pachnie zepsuciem, by się ludzie w tym miejscu odważyli śmiać, a więcej jeszcze o zepsuciu światowym mówił długi stół nakryty. Podejrzliwym okiem objałem zastawę — chyba tu piwa nie będzie! — Nie, rzeczywiście nie było piwa. Tylko mleko. No, temu nic nie można było zarzucić. Zrobiło mi się trochę ckliwo.

Wtym oko moje padło na drużynę śpiewaczą: małe o niebieskim grzbiecie śpiewniki szeleściły w ich rękach. Mały Hopen stał w pobliżu mównicy z urzędową miną. — Chwała Bogu, będzie śpiew! — odetchnąłem.

Drzwi były wciąż otwarte; ze światła dziennego na dworze wyłaniał się od czasu do czasu ktoś pojedynczo lub grupa jakaś zdążała tu na obchód. Wchodzili w pierwszy lub drugi szereg i znikali w nim; nie znać było przyrostu. Wpatrywałem się w drzwi, aż mnie oczy bolały, spodziewając się każdej chwili nadejścia tłumu. Ale nie ukazał się żaden tłum. Tam, z pola dochodził gwar miasta w niedzielnym blasku — młodzież biegnie, poszukując radości tego świata, jak gdyby nie czekała jej śmierć, Sąd ostateczny. W gruncie rzeczy to szkaradne! Poczęło się nieco ściemniać, może deszcz na nich spadnie? Dobrze im tak! Ach, dopieroż będzie wyglądał cały ten jasny przepych letni!

Jakiś blady człowiek przesuwiał się między mównicą, a jedną ze ścian bocznych — był to pastor Hermansen. Znałem go

dobrze. Był on dawniej księdzem przy marynarce angielskiej; od owego czasu nosił czarne ubranie, zapięte szczelnie z białą oszywką koło szyi, jak się noszą księża reformowani i nigdy inaczej się nie ubierał. Obecnie nie zajmował żadnego urzędu w Chrystjanji, gdzie prowadził dzieło nawracania w szczególniejszy sposób, przeważnie na wzór angielski. Sporządził nawet kilka wielkich, płóciennych namiotów, w których miewał kazania; te namioty przenosił w najodleglejsze zakątki miasta, niekiedy wprost w miejsca niemożliwe. — W mieście jest bowiem wielu, którzy nie szukają słowa Bożego, musi więc słowo Boże ich szukać — utrzymywał. A taki był gorliwy w swej pracy około kościoła Bożego, że, choć bogobojny, jak sam katechizm, mimo to bywał niekiedy nieznośny. Przypominam sobie żartobliwe o nim wyrażenie kochanego profesora Caspariego:

! — Tego człowieka powinno się osadzić.

Miał on na myśli osadzenie na jakimś urzędzie.

Ja też na swój sposób uważałem księdza Hermansena za nieznośnego. Miał on możność poznać się ze mną i wiedział, że jestem niezbyt mocny w wierze, to też ilekroć mnie zobaczył, podchodził, chociażby to było w samym środku miasta i rozpoczynał rozmowę o mojej nieśmiertelnej duszy. Niezawszem miałem ochotę mówić z nim o tym, to też obchodziłem go zdaleka, ale ksiądz Hermansen był powołany przez Pana, i obejść go nie było tak łatwo.

Dziś już wygłosił dwa kazania. Teraz miał tu przemawiać. A wieczorem po odbytej uroczystości będzie odprawiał modlitwy w Stowarzyszeniu młodych rekrutów.

— Nie można twierdzić, aby bardzo głęboko w rzecz wniknął — mówił o nim Tyrolczyk, ale ma zapał, to mu trzeba przyznać.

Spojrzałem na bladego, otyłego księdza o twarzy świątobliwej, przezacnej. Tacy mogą życie brać poważnie.

A jednak ten sam człowiek krąży obecnie między uczestnikami i żartuje z niemi. Rozumiał on bowiem, że mło-

dzi nie mogą odrazu wpaść w uroczysty nastrój. Trzymali się skupieni w zwartą gromadkę, jak gdyby przygotowani do obrony, a zdawało się, że onieśmiela ich sama ta sala ponura. Podchodził więc do nich od czasu do czasu, rozbawiał i ośmielał. Domyśliłem się tego, widząc uśmiechających się tych, z którymi rozmawiał.

Stowarzyszenie nie miało na celu nudzić członków, przeciwnie, w statucie wyraźnie było napisane, że młodzież ma się tu zbierać dla rozrywki i przyjemności, byle wszystko odbywało się w duchu chrześcijańskim. Pracowano zapewne nad tym, aby ów paragraf o przyjemności i rozrywce nie był czczym wyrazem: odbywały się więc odczyty o rozmaitych przedmiotach, a ostatniego Bożego Narodzenia urządzono nawet choinkę dla członków. Ale dziś jakoś nie zdawało się, żeby zabawa miała się rozpocząć, choć ksiądz Hermansen czynił wyraźne usiłowania w tym kierunku.

Nikt więcej nie przyszedł, próżne było wpatrywanie się w drzwi; powoli wszystkie oczy zwróciły się ku blademu

mężczyźnie. Mógłby już zacząć. Spojrzał na zegarek, lecz wstrzymał się jeszcze chwilę. Chodził po pokoju coraz żywiej, zacierał tłuste ręce i spoglądał w pułap, jak gdyby stamtąd oczekiwał jakiej pomocy. Ale nie nadeszła. Więc jeszcze raz zasięgnął rady zegarka — co też i ja uczyniłem. Mój spóźniał się o 10—12 minut był już więc kwadrans na szóstą. Nie mogłem dociec na co czeka.

Nareszcie!

Ksiądz Hermansen dał znak. Zamknięto drzwi. Szeroki strumień światła dziennego, który wpadał przez nie, zgasł i pociemniało w sali. Mały Hopen, stojący tuż pod mównicą, z miną urzędową, podszedł do śpiewackiej drużyny. A więc on, ten mały szewczyzna, który łątał moje buty ostatnim razem, on z tą małą, okrągłą, nalaną, bladą, wypelzłą twarzą, był, jak się okazało, kierownikiem chóru! Dał znak pałeczką, szepnął coś... i zabrzmiał psalm.

W napół pustej sali rozlegał się głos bardzo silnie.

Śpiewali ostatnie wiersze, gdy ksiądz Hermansen wszedł na mównicę i złożył rękę.

Chwilę utopił oczy w suficie. Pociemniało jeszcze bardziej, kilka kropel deszczu spadło cicho, jak gdyby niechętnie na wązkie szybki.

Ksiądz rozpoczął modlitwą, w której prosił, aby nam dane było poznać siebie samych i nasze wielkie grzechy, abyśmy wzywali Pana naszego we wszystkim, cokolwiek przedsięwierzemy, abyśmy każdej chwili, w pracy, a niemniej też i w czasie odpoczynku mogli być pewni i bezpieczni od świata tego i jego pokus — abyśmy nakoniec pod opieką Pana odbyli tę dzisiejszą uroczystość.

Po tych słowach przeszedł do porządku dziennego. Dał przegląd tego, co działo się w Towarzystwie, zwłaszcza w ostatnim roku; tu miał sposobność rozwieść się szeroko o pięknych celach Towarzystwa. Mówił akcentem bergeńskim — był to właściwie raczej śpiew, niż mowa.

— Miasto poczyną się rozrastać — rzekł a zło wciska się wszędzie. Grzech czy-

ha na nas z każdego rogu ulicy. Zwłaszcza niebezpieczeństwo grozi młodym, którzy przybywają z małych miast lub ze wsi, a którzy muszą sami o sobie myśleć w tym dużym mieście, pozbawieni nawet takiej pomocy, jaką i najuboższy dom stanowić może. Dlatego to Pan Bóg mężom, przejętym chrześcijańskim duchem i dbałym o zbawienie ludu, nasunął myśl założenia stowarzyszenia, w którym mogliby się młodzi schodzić w wolnych chwilach, gdzieby ich przygarnięto, udzielono rad i wskazówek, gdzie mogliby znaleźć towarzystwo, a niekiedy usłyszeć słowo Boże — słowem stowarzyszenia, które byłoby dla nich rodzajem domu rodzinnego, zabezpieczającego ich, o ile możliwości, przed wielkim miastem ze wszystkimi jego pokusami i niebezpieczeństwami.

— Prawdą jest — ciągnął dalej — że Towarzystwo nie może dużo zdziałać, bardzo wielu bowiem woli chodzić własnymi drogami i podobnie, jak ów syn marnotrawny, marnować zdolności w życiu nieporządnym. Ale gdy rozejrzyemy się w tym, co w roku minionym

zrobiono na ogół i poszczególnie, możemy powiedzieć, że towarzystwo za przyczynieniem się Pańskim działało — chociaż cicho i powoli — ale skutecznie.

Zakończył krótką modlitwą, abyśmy nauczyli się znać siebie samych i swoje własne słabości, abyśmy nauczyli się dziękować Bogu każdym naszym czynem, aby On szczególniejszą opieką otaczał młodych chłopców, chroniąc ich przed pokusami i niebezpieczeństwami wielkiego miasta.

Blady i piękny, prosty, jak świeca, stał na podniesieniu ten, po samą szyję zapięty mężczyzna i modlił się.

Na dworze deszcz padał. Lekko i miękko dzwoniły drobne krople o szyby: była to niby odpowiedź z góry — przepowiednia błogosławieństwa i urodzaju.

Mówca powiedział amen — i zszedł. Poczym odezwał się znów chór:

Boże, błogosław nam króla
użycz mu do walki męstwa i t. d.

Nie bardzo to było odpowiednie.

Ale widocznie nietylko sprawy religijne uprawiano w tym stowarzyszeniu —

nic ludzkiego nie powinno było być obcym członkom, jedynie politykę wyłączono ze względu na spokój.

Po tej pieśni o królu nastąpiła cisza. Poczym znowu prześpiewano coś krótkiego.

Po chwili mężczyzna jakiś, mocno siwy i chudy, lecz przystojny i szanowny, widocznie jeden z tych, którzy tu mieli głos, ukazał się na mównicy i po skończonej zwrotce oświadczył, że obecnie, w tym dniu uroczystym, użyjemy nietylko duchowych darów Bożych, choć te naturalnie są pierwsze i najważniejsze, lecz i doczesnych, tych, których udzielił nam Pan dla pożywienia i utrzymania ciała. I łagodny ten staruszek złożył ręce, odmawiając modlitwę. Prosił więc Boga, najpierw aby napełnił dusze nasze chlebem żywota a potem, aby pobłogosławił te oto dary ziemskie, abyśmy z nich mogli mieć prawdziwą korzyść i używali ich w imię Boże.

— A teraz proszę was, drodzy, młodzi przyjaciele!

Zbite dwa szeregi poczęły się rozluźniać i rozstawiać naokoło dużego stołu. Każdy brał kromkę chleba z mieszanką, nalewał sobie mleka do szklanki i usuwał się, robiąc miejsce innym. Powstał ruch, — w tej chwili najwięcej było tu życia.

Członkiem nie byłem, ale pozwoliłem sobie na chleb i mleko, bo wygłodniałem. I smakowało mi. Mięso było czyściutkie, bez żył, a mleko wprost znakomite.

Uroczysta cisza zaległa powoli i znów otoczyliśmy stół, biorąc po raz drugi. Dumalem nad tym, co to właściwie znaczy: jeść w imię Boże. Ksiądz Hermansen od czasu do czasu zachęcał do chrześcijańskiej zabawy.

Skończywszy jeść, spojrzałem na zegarek. Wielki Boże! jeszcze nie było szóstej. Zrodziła się we mnie szalona myśl: a gdyby też skończyli wszystko za godzinę? najglówniejsze przynajmniej. Do teatru zaszedłbym w dziesięć, no, gdybym wyteżył wszystkie siły, to nawet i w pięć minut. Boże mój, żeby to się chcieli pośpieszyć!

— W każdym razie mam jeszcze czas namyślić się, co robić.

Znowu zsunęliśmy się w dwa szeregi i odmówiono modlitwę po jedzeniu. Menuet Nordraaka znowu począł mi brzmieć w uszach, falując, wibrując. Widziałem w duchu Marję Stuart białą i piękną; słoneczny blask siały jej podniesione oczy, ciemność zalegała, gdy je znów spuściła. A to spotkanie z Dawidem Rizzio! — ach, jakaż ona silna w swej bezbronności! Chyba gorsi od szatanów ci wstrętni, czarni purytanie i protestanci, którzy nie znają innej muzyki nad psalmy i innych miejsc nad groby!

Cieszmy się, cieszymy się,
Cieszmy się w Panu!...

śpiewał chór wesoło. Nie mogłem pojąć, jak ktoś może powtarzać tyle razy jedno i to samo; lepiejby się to podobało, gdyby było krótsze. W każdym razie skończyli wreszcie; potym dali jakiś znak.

— Zakończenie!? — pragnąłem, nie śmiać wierzyć.

Wtedy ksiądz Hermansen zjawił się na mównicy i oświadczył, że wolno głos zabrać.

Straciłem nadzieję... rozumie się, że uroczystość będzie trwała dalej.

Młodzi jednak nie zdawali się wiedzieć, co robić z tym wolnym słowem. Nie ulegało wątpliwości, że ani ten, ani ów nie zechce mówić, a już najmniej tamten.

Zapanowała przytłaczająca cisza. Znowu zapewniał ksiądz Hermansen, że można głos zabrać. Ale nikt go nie zabierał.

Zaczęli więc śpiewać.

Prześpiewali trzy zwrotki psalmu i nowa cisza.

Uporczywa, beznadziejna cisza. Chłopaki zawzięli się w swej bezmyślności i wystrzegając się wszelkich pozorów, zaciskali tak szczelnie usta, jak tylko zdołali, aby ich nie podejrzewano o chęć przemawiania. Byłem jak na torturach. Byle tylko wytrzymali! Nic już nie będzie i skończy się.

A oto widzę mojego żółtego szewca,

podchodzącego do księdza i szeptającego z nim. Czego on może chcieć?

Ksiądz słuchał z brwiami podniesionemi, nakoniec zdawało się, że uległ, chociaż niechętnie i skinął głową. Widocznie chodziło o coś, ale o co?

Niebawem zaspokoilem swoją ciekawość. Mój szewc wszedł na mównicę. Więc mój szewc będzie przemawiał! Przysiągłem sobie wtedy, że nigdy już nie dostanie moich butów do łątania.

Stał chwilę z oczyma spuszczonemi. Myślę, że modlił się o łaskę znalezienia słów odpowiednich. Ach, jak też nie-mądrze wyglądał. — Et, będę mu dawał buty łątać, byle się sprawił krótko — pomyślałem. — A dlaczegoż nie miałby się krótko sprawić? Taka szewcka dusza nie będzie chyba miała dużo do powiedzenia.

Nie, on rzeczywiście nie miał nic wielkiego do powiedzenia. Hm... Ale skoro nikt z tych, którzy mają większe dane do przemawiania, niż on... skoro nikt z tych nie zabrał głosu, pozwoli sobie w prostocie swojej przedstawić... tak, właściwie chciałby tylko coś opo-

wiedzieć. Jest to niby tajemnica... może powiedzieć, ale nie wstydzi się, bo chociaż to się może wydawać mędrcom małe i głupie, zdarzyć się może, iż któryś z dobrych przyjaciół, tu zebranych znajdzie się w podobnej potrzebie, a w takim razie to, co on opowie, będzie mu pociechą albo... tak, śmiało powiedzieć może, pociechą. Hm... Tak, bo to nic innego nie było tylko pokusa szatańska. Nic innego. Hm... Cały przeszły tydzień, a najbardziej w czwartek i piątek, może być, że najgorzej było w piątek... tak, djabeł prześladował go kuszeniem, że całe to, z tym stowarzyszeniem młodzieży i chórem, tak, chórem, to w gruncie rzeczy światowość, która odwodzi od Pana Boga, zamiast pociągać ku Niemu. Gdyż zajmujemy się tu nietylko tym, co jest konieczne, lecz troszczymy się także o wiele innych rzeczy: trzymamy dzienniki, drukujące wiadomości rozmaitego rodzaju, mamy książki w bibliotece, które może wymieniają imię boskie, a może i nie; były też i odczyty o tym lub owym, opisy podróży i t. p., śpiewamy pieśni świeckie,

mogące zachęcić do umiłowania świata i tych rzeczy, które istnieją na świecie, tak, że łaska Pańska nie ma do nas przystępu. Hm... Tak. Poprostu dręczyły go te myśli. Tak go kusiło, że już, już miał się wypisać z Towarzystwa i chóru. Ale kiedy było najgorzej, zdaje się w piątek właśnie, zrobił to, co zwykł był robić w podobnych wypadkach. Poszedł do swojej sypialni i począł się modlić, serdecznie się modlił, aby Pan Bóg oddalił od niego tę pokusę, aby wiedział, co ma robić, a czego nie robić w tej sprawie. I wspomógł go Pan; szewca odeszła pokusa i w sobotę, tak, wczoraj było mu dużo lepiej, a dziś jest już zupełnie dobrze. Dziś zabrał się do swojej czynności w Stowarzyszeniu ze spokojem w sercu i wdzięcznością dla Pana, tak, z serdeczną wdzięcznością dla Pana, który łaską swoją otworzył mu oczy w tej sprawie... i to właśnie chciał przedstawić... hm.. myślał, że to mogłoby... tak, że będzie uznane przez tych... tu, gdzie jest tylu ludzi słowa, tak, ludzi słowa... chciał powiedzieć...

Szewc uwikłał się w zwroty i argumenty, ale w końcu znalazł ucieczkę w modlitwie, która rzeczywiście była krótka. Gdy znalazły się tylko dwie rzeczy, o które prosił, a i te były już wymienione, a mianowicie: abyśmy doszli do poznania, jak bardzo jesteśmy grzeszni, i aby Pan bronił młodych przed wielkim miastem z jego pokusami i niebezpieczeństwami. Poczym opuścił mównicę i dał znak chórowi, aby zaśpiewał: Jezu, jak słodko przebywać z tobą...

Jakoś to niedobrze brzmiało teraz — przynajmniej mnie się nie podobało. Widocznie śpiewacy byli pomęczeni.

Deszcz ustał. Słońce poczęło przedzierać się przez szyby wązkiemi, długimi promieniami, które rozproszyły żółtawy półcień. Teraz musi być cudnie na dworze — przemknęło mi przez głowę. Która też godzina? Nie więcej, jak wpół do siódmej. Może przecież skończy?

Ksiądz znów się ukazał i zapytał, czy kto ma jeszcze co do powiedzenia; stałem jak na rozpalonych węglach. Proszę! — zachęcał uprzejmie i słodko, —

Proszę się ośmielić! Czyżby nikt ze zgromadzonych nie miał nam nic do powiedzenia?... spostrzeżenie jakieś, naukę... lub cośkolwiek innego? coś o darach bożych i czynach doczesnych świata tego.

Życzyłem mu z całego serca, aby go lichy wzięło... ale chwała Bogu! nikt z całego zgromadzenia nie miał nic do powiedzenia.

Wtedy on sam zabrał głos.

Sądził, że opowiadanie o czymś bardziej światowym będzie teraz odpowiednie, więc zaczął mówić o stosunkach w Londynie. Jest to duże miasto, w którym pokusy i niebezpieczeństwa są też o wiele większe, niż w Chrystjanji. Ale tam przy pomocy boskiej praca nad zbawieniem i poprawą przerasta znacznie naszą w tym kierunku. Wszędzie gdzie szatan ma swoje świątynie, ma też i Pan Bóg swoje kaplice, a nawet słowo boże głosi się tam na niewiarogodnych miejscach i w niewiarogodny sposób...

Stałem z zegarkiem w ręku, liczyłem minuty. Żeby tylko coby prędzej doszedł do końcowej modlitwy, zostałby tylko

jeszcze psalm — miałem zaledwie dziesięć minut.

Ale ksiądz Hermansen zakończył bez modlitwy. To znaczyło, że modlitwa będzie oddzielnie.

Już, już miałem wyrazić w duchu życzenie, aby była krótką, gdy okazało się, że emisariusz Bølle będzie jeszcze przemawiał.

Emisariusz Bølle, było to sobie barczyste, silne stworzenie z ciemną brodą, które posiadało podobno talent krasomówczy — niestety!

— Ponieważ pora już i tak spóźniona — zaczął słodkim głosem — odmówimy sobie na końcu wspólną, krótką modlitwę.

Łatwo to powiedzieć — myślałem rozłoszczony — a ja mam tylko dziesięć minut... może dwanaście... najwyżej trzynaście...

Nigdy w świecie nie skończy w trzynaście minut. Co zrobić? Możeby sobie wyjść poprostu? Wysunąć się chyłkiem?

Spojrzałem na długą salę i porzuciłem

tę myśl. Rozpaczliwa pustka na środku... każde oko mnie zobaczy.

Nie było co myśleć o tym, abym wyszedł sam jeden.

Badawczo rozejrzałem się po sąsiadach: może któryś z nich nie należy do dzieci bożych? Tyrolczyk! A chociaż był dziecięciem bożym, miał przecież zdrowy sąd, musiał mieć dość tego wszystkiego! Ale obaj moi towarzysze stali z głowami pochylonemi, zatopieni w głębokiej zadumie.

— A jednak muszę spróbować z Tyrolczykiem — od czasu do czasu rzucał on spojrzenia, które pozwalały się domyślać, że nie był bardzo zbudowany.

Chwila ostateczna się zbliżała, trąciłem go łokciem: — Idziemy?

Spojrzał na mnie zgorszony i nic nie odpowiedział. Około ust dojrzałem fałd, który sobie wytłómaczyłem w ten sposób, że nie miałby nic przeciw towarzyszeniu mi — ale zrozumiałem także iż postanowił zachować się bez zarzutu do końca.

Mnie zaś na tym tak bardzo nie zależało, abym był bez zarzutu. Utopiłem

oczy we drzwiach — a może udałoby się?... Gdy rozważę wszystko, to przecież mnie tu nikt prawie nie zna!

Ale ten straszliwie pusty środek sali, a ci przy mównicy mają taki dobry punkt obserwacyjny. Że też te ławki nie stoją tak, aby mogły stanowić pewną osłonę!

Nie było rady. Straciłem nadzieję po raz najostatniejszy. Było jeszcze siedm, do ośmiu minut. Może Bölle ten raz jeden powie krótko? Może duch nie spłynie na niego? — przecież to się zdarza.

...aby otoczył nas Twój duch święty tak, iżbyśmy doznali łaski przejrzenia, abyśmy prawdziwie i głęboko uznali, jak słabi jesteśmy i jak sami z siebie nic nie możemy zdziałać; abyś dodał nam sił i kierował nami, a zwłaszcza temi najmłodszymi z pośród nas, aby nie stali się rozbitkami w tym wielkim mieście...

— Nie, żadnej nadziei! Natchnienie się zbudziło — namaszczenie i łaska święta wylewały się potokiem słów. Nie skończy przed półgodziną — niema co marzyć.

Za kilka minut podniesie się kurtyna w teatrze... a mnie właśnie chodziło o początek, o ten menuet, ach menuet, śliczny menuet.

Szatan mnie opętał. Wysunąłem się po za szereg, zrobiłem się giętki w kolanach, i na palcach, cichutko, ostrożnie posuwałem się pod ścianą. Chwała Bogu, stare buty nie skrzypią!...

Wszystkie oczy zwróciły się na mnie, czułem je na karku i plecach, ale wsunąłem, o ile można, głowę w ramiona. Ach, nieszczęśliwiec ze mnie — pomyślałem — z pewnością jeszcze lata całe nie będzie dla mnie mowy o prawdziwym nawróceniu się. Szumiało mi w uszach, emisariusz Bülle wzywał niebios na świadka przeciw mnie, ale zdawało mi się, że to brzmi jakiś głos odległy.

...Pomalutku, ostrożnie... ależ paskudne echo... kolana mi się trzęsą... No, chwała Bogu, otóż i drzwi! Klamka trochę zaskrzypiała, ale puściła — wślizgnąłem się przez drzwi uchylone, jak lis, gdy się wymyka ze swej nory;

ostrożnie, cichutko, ach! — Zamknęły się za mną, znalazłem się na dworze.

Po deszczu powietrze się ochłodziło i teraz, pod wieczór, rozchodził się błogi powiew wiosny. Niebo było prześliczne, a tarcza słoneczna, leżąca na grzbiecie górskim, błyszczała żółtą czerwienią i ulice były śliczne, i bruk, i chodniki — można niemi było zejść, gdzie kto chciał. I ludzie byli rozradowani, mój Boże, zabawią się nieco!

A i mnie Pan Bóg przebaczy, poprawię się napewno — tak, kiedyś — nie ulega wątpliwości, że się poprawię — tylko trochę cierpliwości!

I puściłem się w drogę. Przyśpieszałem kroku, biegłem niemal — paliło mnie pragnienie wielkiego miasta z jego pokusami i niebezpieczeństwami.

Ś M I E R Ć.

— Hm. —

Wuj mój odchrząknął a koło ust jego zarysowało się coś, niby uśmiech.

Siedzieliśmy na ganku w ciepłe, słoneczne popołudnie i patrzyliśmy w ogród.

Opowiadałem mu właśnie o bracie, który martwy i zimny spoczywa w grobie.

— Hu, wujaszku, — wstrząsnąłem się — to musi być strasznie... to musi być strasznie umierać! —

— Hm — hm — hm — Tak się więc boisz śmierci?

Mizernie bardzo wyglądał wuj, gdy tak siedział w bujającym fotelu, otulony w pledy i futra, chociaż to było wśród lata. Powiadano powszechnie, że był

to niegdyś pełen życia, piękny mężczyzna, ale żył podobno nieco «za dobrze» jak to mówią i obecnie pozostał zaledwie cień tego, co było. Twarz miał żółtą i zapadniętą, oczy duże, martwe, patrzyły sennie z pod ciężkich powiek; na około twarzy i na podbródku rosły włosy kępami gęstymi, siwymi, tu i ówdzie zmieszane z płatami żółtymi i białymi — nie golił się częściej, jak co sobotę.

Zniszczył go tak rodzaj porażenia; chorował obłożnie prawie całą zimę.

Teraz wysłano go na «świeże powietrze», aby przyszedł trochę do sił; przyjechał więc do nas. Stąd pochodził, miał tu znajomych, a przytym w każdym razie dobrze było mieszkać u doktora.

Staralem się być zawsze przy nim; z dawien dawna byłem zakochany w wuju. On zaś także nie miał nic przeciw mnie, o ile mogę sądzić; wyobrażałem sobie, że pomagam mu zabijać czas własnym próżniaczeniem się i plotkami ze stajni i życia chłopięcego. Miałem wtedy lat czternaście czy piętnaście.

Najczęściej siadywał w milczeniu, słuchał tylko, bo trudno mu było mówić.

Często brakło mu oddechu a mowę miał niewyraźną i ciężką. Raz w raz odchrząkiwał, ale to niewiele pomagało. Niekiedy zdawało się, jakoby mu język obrzmiał: wyrazy z ust jego wychodziły jakieś grube, stłumione i jakby drżące. Jeżeli rzadkim trafem, ożywił się, wtedy wszystko było lżej bez porównania. A wtedy ja cieszyłem się, gdyż sądziłem, że niebawem wyzdrowieje.

— Tak, tak. — To młodość! Wtedy śmierć... wygląda strasznie.

— A ty, wujaszku, nie sądzisz, że przykro jest umierać?

— Nie. — Powiedział to tak stanowczo, jak gdyby od dawna przyszedł do tego przekonania.

Byłem zdziwiony i popatrzyłem na niego pytająco, z wielkim napięciem.

— Śmierć... hm—odchrząknął wuj—wzywa nas... w stosownej chwili... Hm... Ja... znam się z nią dobrze. Nie jest ona groźna.

— Opowiedz mi o niej, wujaszku... opowiedz... jeżeli nie jesteś zbyt słaby.

— Hm...—Niema co tak dalece opowiadać. Hm, hm... Znajdowałem się

w niebezpieczeństwie życia dużo razy. Ale... to nie to. To... hm,—gdy do kogo podchodzi śmierć tak blisko, że... widzi się ją tuż, tuż... wtedy zapomina się o strachu.

Hm!—Pierwszym razem byłem chłopcem może pięcioletnim. Leżałem nad brzegiem potoku — mieszkaliśmy wtedy na wsi — i wybierałem sobie kamyki z wody. Mnóstwo ich tam było... Takie piękne, przeróżne leżały stosami całymi i patrzyły na mnie z tej ciepłej wody. Bawiło mnie to grzebanie w nich.

Jak się to stało, nie wiem, ale w chwilę później... znalazłem się sam na dnie w wodzie. A było mi tak przyjemnie leżeć. Hm. Leżałem na wznak i patrzyłem prosto w niebo, hm; jak gdyby po przez niebieską zasłonę. A tak było niebiesko, połyskliwie, a światła tam w górze hm... takie mi się wydały śliczne!

Było ich więcej, coraz więcej — coraz, coraz jaśniejsze. I taki miękki, biały połysk. A tak mi było lekko, jak gdybym zawisł w powietrzu, spoczywał w powietrzu; w miękkim, lekkim powietrzu — łagodnym, czystym, przedziwnie

jasnym. Nie miałem innego pragnienia... jak leżeć sobie tak i odpoczywać. Hm...

— Ach, jak to musiało być piękne!

— Hm. Widziałem bardzo daleko, nad sobą, w szerokim kręgu... tylko lazururowe niebo, które przechodziło w biel... w światło białe, coraz bielsze, hm. Drżące, migotliwe, białe światło, gęstniejące, gęstniejące... aż cały świat stał się taką jaśniejącą, białą mgłą. Nieskończone morze, morze chmur, powietrza i światła... A w pośrodku tego morza obłoków leżałem sobie wygodnie. Bardzo mi było dobrze.

Odchrząknął, napił się wody ze szklanki, która stała na stoliczku obok jego krzesła, a ja siedziałem cały zamieniony w słuch i drżałem z niecierpliwości, po oczach jego poznałem, że się coraz bardziej ożywia.

— A nie dokuczał wujowi brak oddechu? zapytałem.

Potrząsnął głową przecząco.

— Tylko mi dobrze było... bardzo dobrze. Nie odczuwałem żadnego braku. Czulem się tylko tak lekkim. Hm. A wewnątrz tej białej, jasnej światłości... po-

tworzyły się długie, lekkie cienie, półcienie zielone i brunatne; zielone liście, długie, brunatne gałęzie i szypułki, czysto podzwrotnikowe, hm; las palm... i wijących się roślin... i kwiaty... leśne kwiaty tak wielkie jak miesiąc... dzikie, bujne, dziwaczne, rosnące gromadnie, w półkole lub w długich splotach, hm. Zapewne dostałem się między wysokie trawy, rosnące w rzece, sądzę... między jałowce, wodorosty i inne osobliwości, rosnące na głębinach.

Odetchnął długim, głębokim oddechem.

— A wiedziałeś o tym wszystkim, wuju?

— Hm. Noo... nie bardzo. Właściwie były to obrazy szkicowane... odbijające się jakoby przez mgłę. Hm. Nie wiem, co się dalej działo, pamiętam tylko, że się zbudziłem na kolanach niańki. Ona była bardziej odemnie wystraszona hm, hm... zdziwiłem się. Żal mi było, że już nie jest mi tak miękko, jak tam, gdzie przedtym leżałem... I nieraz jeszcze później przeklinałem tego... chłopaka, że nie

zawołał jej o trzy minuty później — byłbym już gotów.

Ostatnie słowa przykro mnie uderzyły, chciałem go pocieszyć.

— Ach, dużoś przecie później używał w życiu!

— Używał...—uśmiechnął się blado. Uśmiech nie mógł jakoś rozjaśnić całej twarzy, lecz był niemal grymasem i wyglądał dziwnie chorobliwie. — Używałem... to nic w porównaniu do «żyłem»... ale tego ty jeszcze nie rozumiesz.

— Biedny wujaszek — pomyślałem. Co to znaczy być chorym!

Napił się wody i zaczerpnął oddechu. Żeby tylko nie było dla niego za wiele tego mówienia! przemknęło mi przez głowę.

— Hm... Drugim razem byłem w twoim wieku. Było to pewnego dnia pod wiosnę. Śnieg leżał jeszcze, ale za dnia tajało potrosze. Rzeki wezbrały i rozsadziły lody. Otrzymałem od ojca pozwolenie zwozić z parobkami siano i słomę z Auroik do domu... Nie mogliśmy już jechać po lodzie, lecz po moście. Wtedy był jeszcze stary most a właściwie żaden

most, raczej długa kładka bez poręczy lub czegoś podobnego, deski położone na poprzek na podłożu z belek, hm... Ale wysoki był, aby kry nie porwały go na wiosnę. Szerokości miał zaledwie cztery łokcie, tyle tylko, aby można było przejechać.

Ponieważ była odwilż więc był mokry i oślizgły. Sanki zesuwały się tuż na samą krawędź. A pod mostem płynęła duża rzeka, wezbrana białą pianą. Wspieniona, huczała, niosła powyrywane kłody i ogromne kry lodowe. Siedziałem na saniach i ledwie, że ośmieliłem się spojrzeć w dół. Bo zdało mi się, jak gdybym patrzył w czarną, ziejącą śmiercią przepaść.

— Hu! — wstrząsnąłem się nerwowo.

— Hm-hm. Z powrotem parobcy pojechali naprzód. Ja z bułanym zostałem w tyle z furą słomy. Nie miałem odwagi siedzieć na wozie, jadąc przez most, szedłem z boku przy bułanym. Nie bałem się; skoro dobrze poszło w jedną stronę, pójdzie równie dobrze w drugą — myślałem — bułany taki jest mądry, on sobie z pewnością poradzi.

Pierwsze, najgorsze kroki już zrobiłem,—zdawało mi się, że już jestem bezpieczny. Trzymałem się tuż, tuż bułanka i wystawiałem na próbę swoją odwagę, patrząc w rzekę: była piękna i zdawała mi się potężną. Skłębiona żółtymi bałwanami, czarna, głęboka, a wielkie kry ścierały się krawędziami o siebie lub przewalały jedne na drugie. Między mną a brzegiem mostu było może dwadzieścia cztery cali.

Naraz, nie wiem jak się to stało,—lecz wóz znalazł się na przedzie obok mnie, a te dwadzieścia cztery cale zmieniły się w dwanaście.

Wujaszek odetchnął, ja drżałem.

— Chciałem się schować za bułanka, wtym fura przechyliła się przednią stroną...

— Oh, wujaszku!

— Troszeczkę, tylko kawałeczek, ale brzeg już był tak wązki, że nie mogłem przejść naprzód. Prr, bułany!—puściłem lejce i chciałem schować się za wóz, wtym przechyliła się i tylna część wozu z.....

— Nie! nie! — krzyczałem, chwyciwszy się jego krzesła.

— Cały wóz ześlizgnął się jeszcze na cal... jeszcze maleńki kawałeczek... i zatrzymał się.

Odetchnął głęboko i umilkł. Ja trzymałem się kurczowo poręczy fotelu.

— Hm, hm. Nie było wyjścia. Między wodą a brzegiem mostu było tak wązko, że końce moich butów wystawały już nazewnątrz, zdaje mi się. Odwrócony byłem plecami do wozu i poczułem lekki ucisk na ramionach; tak stałem ponad pływającymi krami, z rękami wyciągniętymi jak gdyby zawieszony nad przepaścią, blizki ostatniej swojej godziny.

— Uff, wujaszku, prędszej!

— Wozu nie mogłem się chwycić. Lejce wypuściłem z ręki. Gdybym był wtedy poruszył ręką, drgnął jednym muskułem... znalazłbym się w rzece bez ratunku.

Wuj westchnął. Palce drgnęły, poruszyły się nerwowo, napił się wody.

— Wtedy zajrzałem śmierci w oczy. Hm. Wiedziałem, że w najbliższej chwili

będę leżał tam między krami lodowemi; że tam spadnę, tam też chcę wpaść, nie w sam środek wiru lecz obok; tam będę leżał w najbliższym mgnieniu oka... Przytomność już mnie poczyniała opuszczać.

Dziwny spokój ogarnął mnie wtedy. Patrzyłem uważnie na miejsce, w które miałem spaść, chciałem się z nim dobrze obeznać... i nagle zdało mi się ono tak miękkie i przyjemne. Rzeka w tym miejscu zdawała mi się przemieniać w twarz pełną słodyczy... spokojnej, serdecznej tkliwości. I jak gdyby wielkimi, wilgotnymi oczyma spoglądała w górę, ku mnie biednemu robakowi, który, tracąc przytomność wisiałem nad brzegiem mostu i zdało mi się, jakoby rzeka przemawiała do mnie.—Chodź, nie jestem tak zimną, jak się wydaje!

I cisza we mnie zaległa; świat cały zlał się w jeden wielki szum—byłem gotów. Przyjdę—już idę. Poddałem się i taki mnie spokój ogarnął.

...Świadomość bladła, opuszczała mnie... Wtym między palcami lewej ręki ujrzałem źdźbło.—Ach! Tak... Nie mam poję-

cia, w jaki sposób dostało się ono do mnie, ani też nie wiem, nie mam zgoła wyobrażenia, jak się to stało, że w tej samej chwili odzyskałem przytomność, zupełną przytomność — wyprostowałem się, przycisnąłem do wozu i ostrożnie prześliznąłem się obok niego. Jedyne, co pamiętam, to, że parobcy nadbiegli zobaczyć, co się ze mną stało; ale wtedy byłem już ocalony.

Odetchnąłem pełną pierś. Wuj wypił całą szklankę wody i uśmiechnął się, zadrgała mu ręka i poprawił się w krześle.

— Hm! — Potym bałem się — bałem się tak, że cały dygotał... Ale gdy kto spotka się oko w oko ze śmiercią, jest spokojny, pewny siebie i nie boi się.

Znowu zrodziła się we mnie myśl, że wuj zapewne nie powinien był tak dużo myśleć o podobnych rzeczach i usiłowałem odwrócić rozmowę na inny przedmiot.

— A prawda! — zacząłem — czy wujaszek widział nowego bułanka, kupionego przez ojca — śliczny, prawda?

Konie były jedynymi stworzeniami, które go jeszcze interesowały — i wkrót-

ce zapomnieliśmy o śmierci, a mówili o bułanym żrebaku.

Ale od żrebaka przeszedł do konia, którego sam miał niegdyś i zanim się spostrzegłem, zeszliśmy znowu na temat o śmierci.

— Tak, prawda, cisawy, tak, hm. Teraz stary już, biedak, pług musi ciągnąć. Ale w młodości dzielny był, hm. Hm, hm — a przytym był także powodem, że raz jeszcze spotkałem się ze śmiercią.

— Ach, tak; wtedy straciła życie ta panna z teatru;—ileż to lat temu?

— Tak pragnąłem posłyszeć jego przygodę, a być może, iż i jemu opowiadanie sprawiało przyjemność.

— Ah-hm; ciebie jeszcze wtedy nie było na świecie—zaczął wuj.—Kupiłem go w Danji, była to szlachetna rasa. Hm. Głowę miał najpiękniejszą, jaką widziałem u konia... a nogi! a co za chód, hm—ale ty się jeszcze na tym nic nie rozumiesz. A jakie uszy! ruchliwe, a malutkie; tak, tak, tak, hm. Jeszcze teraz miło mi, gdy sobie go przypomnę. Bie-

dak postarzał się teraz. Skończyło się z nim jak i ze mną. Ano—no.

Hm. Wróciłem do domu z koniem, jeździłem z nim odtąd co dzień a wszyscy zachwycali się moim Hannibalem. Tej biedaczce, Lizzi, tak się spodobał, że przyszła raz do mnie z żądaniem... urządzenia przejażdżki... Ale... zapamiętaj to sobie, Janie, złe często trzyma się w parze z kobietami. Hm-hm... Nieznanych kobiet... powinien się człowiek bać... w każdym razie. Hm... w każdym razie.

No, tak. Hannibal spłoszył się, a największe nieszczęście było w tym, że Lizzi uparła się powozić. Stało się to tak nagle, że zanim mogłem uchwycić lejce i uspokoić konia, weszło jedno koło w przydrożny rów, hm. Wóz na płot i poszedł od razu w kawałki; Lizzi głową uderzyła o róg parkanu... tha!.. tha... Mnie odrzuciło dalej i otrzymałem lżejszą kontuzję ale i ja straciłem przytomność, jedyną różnicą było to, że ja zbudziłem się jeszcze... na tym świecie. Tak! tak. Pozostało mi w pamięci tylko niejasne wspomnienie jakiejś dzikiej jazdy

w powietrzu, jakiegoś trzasku, uderzenia. Siedzenie i osi wozu widziałem pomieśzane w powietrzu... Hm. Nie czułem żadnego bólu. I ona zapewne także nie cierpiała... poznałem to po niej potym. Na twarzy malowało się tylko naprężenie, które nią owładnęło, gdy się koń spłoszył—leżąc zdawała się jeszcze trzymać lejce. Około ust wyraz silnej woli i pewność, że uda się jej dobrze wyjść z tego wypadku. Hm. Biedactwo! Żal mi jej było niezmiernie. Ale śmierć miała lekką.

— Słońce zapadało niżej, coraz niżej. Zrobiwszy sobie z ręki zasłonę, wpatrywałem się w obłoki na niebie. Wuj siedział z zamkniętymi oczyma i patrzył w ogród lub może w głąb swojej duszy.

...A teraz, w ostatniej mojej chorobie—ciągnął dalej—byłem już także blizki śmierci. Hm. Wstałem rano, jak zwykle, miałem się właśnie ubierać — gdy wtym podłoga jęła się zapadać podemną... Chciałem się na czymś wesprzeć, ale wszystko usuwało mi się... uciekało przedemną... jakaś siła, której się oprzeć nie mogłem, ciągnęła mnie w dół. Byłem

więcej zdziwiony i zmieszany, niż przestraszony. Hm. Gdy ktoś pozna, że to jest siła, przeciw której niema obrony — staje się zupełnie spokojnym.

Gdy się ocknąłem, byłem tylko ciężki... hm, byłem kłodą, która leżała i zapadała się głęboko, coraz głębiej w coś miękkiego i ciemnego... jak ołów ciężki, — biedny, strasznie biedny byłem... każdy nerw mi dokuczał... Ach, taki ciężki byłem a jednocześnie bezprzytomny; łóżko zdawało się bujać wraz ze mną, uderzając o coś od czasu do czasu. Hm. Zresztą nie wiele wiedziałem, co się ze mną działo. Czułem tylko ciężkie oszołomienie. Otworzyć oko, poruszyć palcem... ach, ani myśleć! Nie przyszło mi nawet to do głowy, chciałem tylko odpoczywać. Odpoczywać każdą kroplą krwi, każdą komórką, każdą żyłką, każdym mięskiem... chyba zapaść jeszcze głębiej w spoczynek, jeszcze bardziej wejść w nicość, zasnąć, zasnąć... tak, żeby dla mnie panowała już tylko noc.

Hm! hm - hm. Wiedziałem, że nocą tą będzie śmierć ale mimo to pragną-

łem jej, pragnąłem z trzeźwym, jasnym spokojem, wiedziałem, że nadejdzie. Wyciągnąć się i umrzeć!... co to za ulga będzie, co za ukojenie... Oto tak wygląda strach przed śmiercią, gdy przyjdzie zupełnie blisko... hm.

Jeszcze teraz zdaje mi się często, jakobym każdej chwili gotów był położyć się i wyzionąć ducha. — A to jest myśl tak pokrzepiająca.

Nierozsądnie jest wyobrazać sobie śmierć jako kościotrupa z kosą. Hm, to wymysł księży; ci ludzie nigdy nie widzieli śmierci. Ona wcale nie jest kościotrupem; to dobre, litościwe bóstwo, mężczyzna lub kobieta. Poważne, blade, surowe na pozór, ale gdy się zbliża, staje się ta surowa twarz łagodną, słodką. A oko jej wielkie, głębokie i pełne współczucia... hm... współczucia.

Hm-hm. Nie, ona nie życzy nam nic złego. Weźmie nas w miękkie objęcia i utuli do snu. A sen to będzie jasny, świetlany. Kołysać nas będzie w ramionach, aż zapadniemy w coraz głębszy... w coraz twardszy sen... A potem nagle rozjaśni się, jak nad ranem, kiedy mgła

się rozpierzcha... I oto jesteśmy już w drugim życiu.

Wuj skończył mówić a ja leżałem na ganku i spoglądałem w niebo, póki obłoki na nim nie zamieniły się w twarz, która stawała się coraz łagodniejszą, łagodniejszą, im dłużej się w nią wpatrywałem.

Lars z Lia.

Nie z tych on, którzy, gdy co pomy-
śla, zaraz wykonają—o, nie!

Jeżeli nawet znajdzie się coś do zro-
bienia, na przykład poszycie na szopie,
które potrzebuje koniecznie naprawy —
on musi się naprzód rozpatrzyć w tym
należycie.

— Zobaczymy, zobaczymy — mówi
Lars z Lia.

I patrzy, patrzy—dokładnie i długo.

Gdy mu się zdaje, że się już dość na-
patrzył, powiada w duchu:—tak, trzeba
będzie zabrać się do... pomyślenia nad
tym!

I zaczyna myśleć. W ten sposób my-
śli rok albo i dwa. Ziewnie na koniec
i rzeknie: Ha! trzeba więc będzie wkrót-
ce pomyśleć... aby się zabrać do tego.

Myśli zabrać się do roboty. Myśli długo... tak długo, póki nie okaże się, że na ten rok już za późno. Ha... trzeba będzie na przyszły rok wziąć się do tej roboty—powiada, przeciągając się.

Nastał rok przyszły. Wychodzi na dach obejrzeć i postanawia, że to już musi stać się koniecznie.

— Niech diabli biorą wszystko, a musi być!—klnie Lars. Nie strzyma dłużej. Do cna zepsuty. Szopa zgnije cała. Siano niszczeje z roku na rok; tak dalej nie pójdzie. Trza mieć wszystko w porządku, kto chce wyjść na swoim!

Uczyniwszy takie postanowienie, wypoczywał trzy tygodnie. Nie należy się śpieszyć—pomyślał—wszystko w swoim czasie.

Nadszedł wreszcie poniedziałek, w który to ranek miał się zabrać do roboty.

Ale—czy widział kto coś podobnego? Że też musiało się tak złożyć, że właśnie tego ranka zasnął sobie porządnie! Widać nie był zupełnie zdrów tego dnia... Po prostu już był zły. Zepsuło to mu cały dzień.

— Nie idzie człowiekowi robota, niezaczęta w swoim czasie.

— Tak, tak, niema rady! Trza zaczekać do jutra... abo może innego dnia w tygodniu. Bo, dziwna rzecz, jakoś nie wydaje mu się zaczynać wielką robotę od wtorku. A przecież to nie lada robota!

We czwartek rano zerwał się o ósmej: trzeba mieć cały dzień przed sobą, jeśli się chce co zrobić. Ach! przeciąga się, ziewa. Wciągnął szarawary, ziewnął dwa razy i podszedł do okna, popatrzeć jaka pogoda.

— Hm... coś to nie dobrze dziś z tą pogodą. Nie można przewidzieć, co dzień przyniesie. Prawdziwie, nie wiadomo, co może przyjść. Trzeda się mieć na baczności. Nie byłby on Larsem, gdyby się najpierw dobrze nie rozpatrzył!

Wdział jeden but. Zabiera się do drugiego, a od czasu do czasu spoziera przez okno.

Nakoniec wyszedł i zajrzał do klaczy swojej. Obrządziwszy ją, wrócił do izby, posilić się.

— Przecież to jest konieczne—medy-

tował. Pusty żołądek nie wydoła robotcie—jeść potrze!—zakonkludował.

Wreszcie był i z jadłem gotów. Teraz jeszcze taka fajeczka. Nie można brać się do wielkiej roboty, nie zakurzywszy fajeczki.

Z kieszeni od kamizelki wygarnął trochę tytoniu. Z pochewki wyciągnął scyzoryk. Poszukał deski do krajania tytoniu, usiadł z nią pod piecem i zabrał się do roboty. Nałożył fajkę, wziął szczypce, rozgarnął w piecu i ujął kawałek palącej się głowni.

Chce pociągnąć. Nie idzie... widocznie fajka zatkana. Wydmuchuje więc, czyści. Wychodzi na stryszek po długie źdźbło i przepycha. Nałożył fajkę na nowo, pomalu, ostrożnie znowu poszukał żarzącej się głowni i próbuje. Teraz doskonale! Pyk, pyk — zawsze się musi zapchać. Pyka z zadowoleniem. Siedzi i pyka dobrą chwilę — musi wytrawić. Popatruje też czasami, jak tam z pogodą.

Tymczasem po izbie kręci się baba w koszuli i spódnicy, z włosami rozmierzwionymi.

— Nie wygląda dziś pewnie—powiada—nie rad byś ta był dziś deszczowi.

Lars pykając, przytakuje głową.

Wyszła i znowu wróciła; krzątając się po izbie zaszła do szafy, starej, pięknej szafy po pradziadach, w której wypisane były słowa z Pisma św. «Błogosławieństwo Boskie wzbogaca dom bez trudu».

Podchodzi do okna i wygląda. Zdaje się i jej, że niebo dziś jakieś podejrzanie.

— Dyc ta nic takiego nie masz robić, coby ci tak pilno było — powiada — nie ucieknie ci nic... do jesieni daleko, a kto nie baczy na pogodę, może pożałować... Wprzódzi napij się kawy, dobrze?

Nalała mężowi filiżankę i wyszła. Po chwili wróciła, poszturgała coś koło pieca, dołożyła drew na ogień i kończyła.

— A skoro ci ta chodzi o to, znalazłaby się ta i w domu robota... chociażby i to wiaderko, coś tak dawno miał obić... mógłbyś i dziś zrobić. Dziewka narzeka, aż się przykrzy.

— A wy znacie ino jedną śpiewkę! mruknał, pykając.

Wyszedł jednak; baba zmiarkowała,

że idzie do komory z narzędziem rozmaitym. Niebawem wrócił z młotem, obcęгами, nożem i gwoździami.

— No dawajże tu to wiadro twoje! Nie będę się mógł spokojnie zabrać do innej roboty, póki ty nie będziesz miała swojego wiadra.

Baba wybiegła w dyrdki.

Kiedy skończył wiadro, godzina była tak późna, że nie warto było zaczynać roboty poza domem... No i patrzajcież! ha, zobaczymy, jaka to jutro będzie pogoda!

Rano deszcz padał. Następnego dnia pogoda była pewna, ale to była sobota, a któż w ten dzień zaczyna jaką wielką robotę?

W niedzielę wypoczął sobie Lars porządnie. Bo przecież jutro już na pewno musi się to zrobić.

Ale... W poniedziałek rano przypomniał sobie, że miał iść do Gardom rozmówić się o owcę, którą miał wziąć na jesień. Patrzajcież, że mu też to do krzty z głowy wyjść mogło!

Podreptał na miejsce i siedział długo, mówiąc o pogodzie i o innych rzeczach,

a wkońcu uznał za odpowiednie przedłożyć cel, który go tu sprowadził. Złatwił więc i sprawę z owcą, a pod wieczór znalazł się w domu z powrotem.

— Widział kto! I znowu dzień zeszedł! — powiada zdziwiony Lars z Lia.

Nazajutrz, minawszy podwórze, wyszedł na gościniec do swojej roboty. W tym zajęchała mu drogę bryczka. Któż by to mógł być?

— Czy też to nie sołtys a z nim chłopcy z Utigard... cóż u licha!

Sołtys zatrzymał się i pozdrowił go. Gdzie się wybiera i po co? Fantować za podatek.

— A do diabła! Do krzty wyszło mi z pamięci! — powiada Lars.

— O, od dawna! — odparł sołtys.

— Patrzajcież! — pomrukiwał zdumiony Lars. Na dziś więc odłożył robotę.

Następnego ranka wstał w złym humorze. Nic nie będzie z niczego, póki nie pójdzie na wieś i nie upewni się, czy znajdzie się ktoś, coby mu pożyczył pieniędzy na podatek.

— No i widział kto coś podobnego! —
wyrzekał Lars, skrobiąc się za uszy.
Jakby się uwzieno!

— A do wchodzącej baby powiedział:

— Ale juści, stanie na twoim, trza
z szopą poczekać do jesieni.

— Ale — dodał ze złością — kieby mi
wtedy wlazło co w drogę, to już chyba
ucieknę do Ameryki!

Górskie powietrze.

Ola Bryn, malarz, inaczej Olaguten, i ja doszliśmy do przekonania, że przez czas tych upałów lepiej będzie sypiać za dnia, a wycieczki urządzać nocami. To też, wypawszy się należycie w Övstemo-Saetri, o zachodzie słońca puściliśmy się w drogę z zamiarem «zdobycia» jeziora Dyr sjö wczesnym rankiem.

Słońce wstawało z poza gór dzień za dniem bez przerwy tak, że powietrze zamieniło się w gęstą, parną, szarą oponę.

— Teraz palą się lasy za Öysterdalen, trzeba ci wiedzieć—powiedział Olaguten.

Niebo powleczone było szaro-brunatną powłoką, która w dali na samym widnokręgu zgęstniała w ciemne, czerwono-

no-brunatne mgły i obłoki; górskie szczyty oblokły w nie swoje grzbiety i wierzchołki i srebrem lśniące śnieżne cyple, przypominając senne widziadła, a niebo i ziemia spłynęły się w jedno.

W onym łożu mglistym, daleko poza ostatniemi, niknącemi w obłokach górami, na południowym wschodzie wyłaniały się z szarej głębi jaśniejsze, żółtawemi brzegami obramowane chmury, zapowiadające deszcz.

Wtym zerwał się wiatr zachodni i przemknął długimi, żywymi podmuchami po zboczach, gdzie szeleściły górskie brzoźki, pokurczone od wiatru halnego i walki z życiem. Niżej, na dolnych upłazach odezwało się od czasu do czasu kukanie kukułki; słyszeć je było poprzez szum wiatru przygłuszone a wyraźne, spokojne i łagodne, jak wieczorny dzwonek z ukrytego w lesie kościółka.

Lecz niebawem wiatr przycichł. O godzinie dwunastej leżeliśmy nad strumykiem, gotując sobie kawę. Cisza panowała naokół, tylko górski jakiś ptak, który się nie spłoszył, ćwierkał gdzieś

w sitowiu, czy też w gaiku brzozowym. Od czasu do czasu w dali odzywał się miękki, słaby dźwięk dzwoneczków — zapewne pasących się koni. Znikły gdzieś chmury deszczowe na południu, pozostała tylko bladawa, szaro-niebieska mgła, miękkimi obłokami otulająca góry.

Na północy jaśniał nisko, w dole, matowy pas brązu.

— Zorza północna—odezwał się Olguten.

Stawaliśmy się coraz bardziej małomówni. Taka wielkość i świętość opłynęła wszystko. Jak w baśni! Nie noc to była, lecz dzień gasnący. Dzień czarów, dzień duchów—jakieś światła, jak gdyby widziane we śnie, gdzie nie rozpoznasz czy to słońce, czy też księżyc. Możliwość uwierzyć w tej chwili w owego olbrzyma o siedmiomilowych butach, który obchodzi wszystkie góry i, jak cień, znika daleko, het daleko.

Myśmy tak siedzieli przy kawie, paląc w krótkich fajeczkach drobno pokrajany tytuń liściowy, nagle przeszedł powietrze jakiś dym szczególny. Odczuliśmy go raczej, niż zobaczyli; obaj równocześ-

nie rozejrzeliśmy się wkoło i w tej samej chwili na ustach naszych zbudził się jeden i ten sam wyraz: tytuń!

Zdaje mi się, że obaj doznaliśmy jak gdyby nagłego ocknienia się w sobie, uczuliśmy zmianę w harmonji nerwów, tchnienie świetlane we krwi. Jak gdyby przebudzeni nagle, zerwaliśmy się na nogi, zagasili ognisko i ruszyli w dalszą drogę.

W chwilę później szedłem, nie mogąc sobie zdać sprawy, czy rzeczywiście nie spałem. Musiałem się zdrzemnąć, jeżeli nie oczami, to resztą ciała—gdyż wszystko, co robiłem, myślałem, widziałem i mówiłem przedtem, wieczorem—zdało mi się tak odległe. Tak już dawno temu! Znajdowałem się w zupełnie nowym otoczeniu. Przypominałem sobie wszystko, jak gdyby przez lekką mgłę sennego majaczenia.

Zwolna podnosił się dzień—nieznacznie. Delikatne, lekkie promyki światła, drżąc zbliżały się ponad majaczącymi górami od strony jaśniejszego, coraz jaśniejszego nieba na północnym wschodzie; wszystko, co pozostało z oparu

wieczornego i nocnej opony na niebie i w siedzibach olbrzymów, pierzchło, jak sen przed dniem, rozwiało się i znikło. Wierzchołki, szczyty i długie grzbiety górskie, widne dotąd na południu ni to blade cienie, ni to pusta powierzchnia w próżni, zaznaczały się coraz wyraźniej, im szybciej świt postępował.

Już też znaleźliśmy się w dolinie, prowadzącej ponad wzgórze Dyrsjö do małego pasma górskiego nad samym jeziorem. Z jednej szczeliny, od północnego zachodu sączył się wśród szmeru i plusku wesóły strumyczek. Zatrzymaliśmy się po drugiej jego stronie, w górze. Pięknie wił się przez otwartą, bagnistą dolinę wśród metalicznego szumu, lśniąc delikatnym, modrym blaskiem porannym i wpadał poniżej w jezioro, otoczone trzęsawiskami. Dalej ponad wodą ukazał nam się ładny, brunatny szałas jak gdyby pałac huldry. Tu i owdzie po wzgórzach, w stronie zwróconej do słońca, zieleniły się większe i mniejsze gaje brzozowe. Ptaki budziły się wszędzie.

Wnet światła poczęły napływać większemi falami, a każda fala wносиła z so-

bą świeży ton podstawowy. Były tam wszystkie odcienia brązu i złota i różowości; blade, blado-różowe nad wysokimi szczytami błękitnymi, okrytymi błyszczącą srebrną powłoką śniegu, jeszcze bledsze nad górami porośłymi dojrzałym, żółtym mchem reniferów, i mocniejsze, żywsze nad soczystemi, zielonemi haszczami, okrytymi chłodną rosą.

Chwila to jest cudowna, kiedy szare góry otulają się w poranną zorzę i w błękit nieba jak w baśń tęczową i przegładają się w lśniących jeziorach, wyświeżonych, o tak czarownym, pociągającym wdzięku, że stajesz jak urzeczony i myślisz, żeś chyba w czarów krainie. Nigdy nie zdarzyło ci się widzieć jeziora tak przezroczystego, odbijającego w sobie świat podobnego wdzięku z tak miękkimi odblaskami, w tak łagodnym świetle marzenia i złudy.

A dzień rósł i ton światła potężniał. Przybywało więcej, coraz więcej tonów: była to jak gdyby muzyka, złożona z różnych głosów i instrumentów—póki wszystko to nie zlało się w jeden potęż-

ny akord;—słońce wyszło a biały orkan światła wypełnił niebo i ziemię.

I świat zdawał się stworzony na nowo.

Jest to chwila, gdy wszystko cichnie każda ćwierkająca siewka, każda kukająca kukułka, i lis i niedźwiedź stają osłupiałe, bez ruchu, a zając przystaje w skoku. Świat zapomina o sobie wobec tej wszechpotęgi; zda się, jakoby w porannym świetle, pod kręgiem słońca miał widzenie bóstwa.

A po tej grze barw, po tym cudzie natury nadpływa dzień roboczy — ciężki i długi.

* * *

Puściliśmy się dalej przez zarośla a słońce prażyło bardziej, niż trzeba było — przynajmniej o ile chodziło o mnie.

A rozmaite owady kąsały a komary cięły. Muchy zaś, bzykając, obijały ci się o uszy i policzki raz wraz, bez ustanku, bez końca.

Uciekaliśmy potym—przynajmniej ja. Głowa mi ciążyła, nogi osłabły, tłumok gniótł mi ramiona coraz dokuczliwiej.

Haszcze Dyrsjö ciągną się daleko. I zdawało się, że gęstnieją w miarę wzmaganania się upału. Lasek był rzadki i mały, składały go brzoźki górskie lub tu i owdzie stynka, na cał wysoka, to też cienia niemal ani śladu, a tymczasem słońce na niebie prażyło jak piec rozpalony do białości. War szedł od kamieni i ziemi—duszno było wszędzie.

Powietrze przypominało odwar, składający się z gorących powiewów. Zapach łąk, bydła, pięknych górskich kwiatów, mchu i gorącego wrzосу, żywicznych sosen i młodej, słodkiej brzeziny i ścian szałasów od słońca spieczonych, rozchodził się w koło i mieszał z sobą, snując się po haszczach, jak gdyby po stepie. A był tak mocny, że bił do głowy; stałem się ociężały i senny.

— A!—zawołał Olaguten, przeciągając się: — Co górskie powietrze, to górskie powietrze! — chociażby i prażyło — dodał i wciągał je pełną pierśią.

Nie wtórowałem mu wcale, lecz mruknąłem: to mi powietrze górskie—niby tak bardzo orzeźwiające! hm... hm!

Spojrzał na mnie i skrzywił się lekko.

— Zmęczonyś? — zapytał. — Ustąpi, gdy się należycie spocisz.

Nie podobał mi się ten jego spokój, pełen wyższości, to też nic się nie odezwałem.

Ale miał zupełną słuszność. Gdym się należycie spocił, zrobiło mi się lżej. Nie był to ów wilgotny, ciężki pot, lepki, kleisty, który cię czyni słabym, bezsilnym, jaki znamy z pobytu w mieście lub z rannych przechadzek po dolinie — nie, ten spada z czoła jak grad lekkimi kroplami. Po chwili byłem już rzeźwy, lekki, że mógłbym i zatańczyć.

Wkrótce znaleźliśmy się na otwartym miejscu. W dole rozlewało się jezioro lśniące i świeże między wysepkami i ostremi przylądkami. Teraz powiał chłodnawy orzeźwiający wiaterek. Ach, jak tu dobrze, jak świeżo! Miał słuszność Olaguten; co górskie powietrze, to górskie powietrze! Tu człowiek może żyć wieki!

Ponad górami, leżącemi za jeziorem, pociemniało — nadciągały chmury. Chwała Bogu, zleje nas porządnie! Czuję jak to wszystkiemu zrobi dobrze.

Puściliśmy się laskiem żwawo. W półgodziny później stanęliśmy w najwyższej położonej wiosce. Ziemia sucha tu była i pragnęła deszczu; słońce wypaliło ją do cna.

— Byle tylko nie było za późno — westchnąłem.

— Ach, nie—uspokoił mnie Olaguten. Gdy stara trawa się spali, puści się świeża.

Wielkie podwórze zastaliśmy wypełnione wózkami zaprzężonemi, a na nich różne przybory kościelne. Wjazd na podwórze zamieniony był w rodzaj bramy tryumfalnej, przybranej brzezina. Po nad ścianami domu i we drzwiach stały grupki ludzi odświeżnie przyodzia-nych ciemno-niebiesko lub jasno-szaro. Rozmawiali z sobą cicho i spokojnie. Po domu krzątały się kobiety; kilku chłopców bawiło się z dziewczętami za stodołą i dREWUTNIĄ.

— Wygląda, jak gdybyśmy trafili na weselisko!—zauważył Olaguten.

— Tak się zdaje!

Weszliśmy na podwórzec i przywitaliśmy się z temi, na których natknęliśmy

się najpierw. Zaraz zbliżyła się i reszta, zaciekawiona przybyszami. Wnet zawiązała się żywa rozmowa, z ktorej dowiedzieliśmy się, żeśmy trafili na pogrzeb a nie na wesele.

Tutejszy gospodarz rozstał się z tym światem.

— Tak, tak — mówili — wszystkich nas to czeka. No, stary był dość... ale taki znów bardzo stary, nie.

Obliczyli, że miał lat 86, a to przecież znowu nie taki wiek podeszły. Ale w ostatnich latach jakoś zdziecinniał.

— Chory?—nie. Chory nie był zgoła. Przez całe swoje życie nie chorował ani przez jeden dzień... chociaż ciężkie miał życie. Harował i obrabiał wszystko sam, przez długie lata, dopóki synowie nie dorośli. O, on, Haakkaa Paalströen, nie należał do tych co umieją siebie oszczędzać! Ach, te czasy, kiedy to zajmował się i ciesielką i wypalaniem węgla i zwózką w najstraszniejsze mrozy—bo to było wtedy, kiedy wypalali węgle do fabryki,—a przytym i dom obrobić musiał — ach tak, ciężko mu było, ale nigdy nie narzekał i nigdy, nigdy nie chorował —

sam często o tym mówił. W dawnych ludziach więcej było sił, niż w dzisiejszych. — Ale w ostatnich latach stracił rozum, do krzty nie miał pamięci. Dawne rzeczy pamiętał, ale to, co słyszał i widział w ostatnich czasach nie chciało mu się czepiać głowy — jakby znowu w dzieciństwo wrócił — możnaby powiedzieć. Na ostatku i ludzi już nie pamiętał. Syn jego syna ożenił się zeszłego roku.

— Syn, mówicie?

— Syn? nie, młody Haagen, co teraz siedzi w tej chałupie to syn po synu.

— Syn to jest Simen, ten, co go widzicie we drzwiach, ten z gołą głową.

— Ten starzec z białą brodą?

— Tak, ten z siwą brodą — taki stary wcale jeszcze nie jest.

— W tej zagrodzie więc żyły dotąd trzy pokolenia?

— Tak, — bo był pradziadek, dziadek i Haagen sam — a teraz mały Simen, syn Haagena.

— Więc cztery pokolenia! — zawołałem.

— Górskie powietrze—potrząsnął ku mnie znacząco głową Olaguten.

Powstał stąd mały spór o to «górskie powietrze». Najmłodszy z pośród mężczyzn, z którymi rozmawialiśmy, utrzymywał, że powietrze nie znaczy tak wiele; teraz, przy tym samym zdrowym powietrzu ludzie nie żyją tak długo - większa część umiera wcale młodo, na suchoty, dyfteryt i różne inne nowe choroby, niedawno powstałe.

— Wprowadzone—poprawił go Olaguten — wprowadzone koleją żelazną... z miasta. To jest jedyne dobro, które wam przyniosła kolej żelazna, ale powinniście się nauczyć zamykać nas, mieszczuchów w sanatorjach i hotelach, abyśmy sobie tam leżeli i umierali sami dla siebie.

Śmieli się z tego wszyscy i wrócono do poprzedniej rozmowy.

— Zdziecinniał stary — powtórzono. Tej młodej kobiety, która weszła w dom, nigdy nie mógł spamiętać. Codzień, ilekroć weszła, wpatrywał się w nią ze zdziwieniem, coby to była za jedna.— Tej kobiety nie znam — powtarzał stale.

I tak wciąż. Wszystko, co pochodziło z ostatniego czasu było mu trudne do zapamiętania.

— Ach tak, jestem już za stary - mawiał często — poprostu teraz już jestem za stary.

Najchętniej siadywał ostatnim czasem przed ogniskiem i dumał. Albo też leżał długo i spał, jak małe dziecko. Czasami zdawało mu się, że nie warto było wstawać.

— Już nie długo przyjadą po mnie z tą łodzią, wiem dobrze—mawiał.

— Z jaką łodzią?—pytali.

— No, z tą filizanką—powiada.

— Filizanką?

— Żebym i ja wreszcie raz mógł się dostać do ziemi...

— O trumnie mówicie?—pytali.

— A ino, a nie tak to mówiłem?—odparł staruszek.

Nie bał się śmierci, wcale nie. Raczej wyczekiwał jej, sądził, że dość się już pracował w życiu. I nadszedł ten dzień. Barbara właśnie zajrzała do niego; kiedy wchodziła, kładł się do łóżka i tak leżał i czekał, modląc się. W ciągu dnia stra-

cił mowę. Potym spał, o ile mogli zauważyć. W nocy czuwali przy nim, nad ranem spostrzegli, że umarł.

— Tak powinni wszyscy umierać! — zauważył Olaguten, który wyciągał ich na to opowiadanie, wybadywany wzajemnie o pogodę, o wiatr, o stan ziemi, którądyśmy przechodzili. Pytali go cośmy za jedni i dokąd dążymy.

Ludzie ci nie widzieli w śmierci nic nadzwyczajnego—dla nich była to rzecz tak naturalna, prosta, że nie było tak dalece o czym mówić.

Weszliśmy do środka zobaczyć zwłoki. Cicho, spokojnie leżał sobie, jak posąg z wosku, z czołem wysokim i wyrazem twarzy tak czystym, jak gdyby to były królewskie zwłoki.

Trumnę zimną, czarną, stanowiło sześć heblowanych desek, złożonych i pozbijanych w rozmaity sposób. Ozdobiona była rogiem obfitości i krzyżem z podpisem: «Spoczywaj w spokoju» i tym podobnemi upiększeniami wiejskich estetów. Stała na ławie, na samym środku izby. Na stołkach i ławach naokół siedzieli ludzie potrzebni do obrzędu, z jed-

nej strony mężczyźni, z drugiej kobiety. Wiele z tych ostatnich trzymało na kolanach drobne dzieci, jedna karmiła niemowlę. Ile razy chciała zakończyć, małe poczynąło krzyczeć. W samych drzwiach stał mężczyzna drobnego wzrostu, o podłużnej, krzywej twarzy z pełną brodą. Był on wzruszony, albo też miał katar, bo często ucierał nos. A ponieważ w tej uroczystej chwili chciał w swoim zachowaniu się być możliwie najwytworniejszym, za każdym razem schylał się i ocierał palce o podeszwę. Za nim w sieni stała młodzież, służba i inni, nie należący do konduktu. My, nieznajomi znaleźliśmy sobie miejsce w kącie... obchodzono się tu z nami na ogół lepiej, niż mogliśmy się spodziewać, jako nieproszeni goście.

Miejscowy nauczyciel, wysoki, blady mężczyzna, w jasnoniebieskim szewiutowym garniturze, odprawiał śpiewy nad ciałem. Kilku z urządzających pogrzeb wtórowało mu. Przypominało to wspólną modlitwę lub małe zebranie w celu wzajemnego umacniania się w wierze.

Psalm był długi. Spokojnie, miarowo

płynął jednostajnymi, twardymi dźwiękami i ciężko wibrując, mieszał się z szumem wiatru na dworze, który wzmagał się coraz bardziej. Od czasu do czasu, dawały się słyszeć, jak gdyby w zgodnej harmonji ze śpiewem, brzęczenie much, krzyk dzieci, lekkie zanoszenie się płaczących kobiet, uciszanie i pieszczoty matek. Bardzo stary jakiś człowiek siedział na pierwszym miejscu za stołem i poruszał małą, siwą głową, widocznie zdziwiony, że owa łódź po niego nie przyszła jeszcze, aby przecież i jego zabrać z sobą.

W miarę jak psalm wznosił się i potężniał, zdawało się, jakoby na tych wszystkich silnych, twardych obliczach kładła się jakaś światłość, jakiś powiew miękki i ciepły, niby promień wyższej jakiejś słoneczności, której przedtem nie dostrzegłem. Tony psalmu i spokojne poważne myśli podniosły ludzi tak, że patrzyli inaczej na swoje nędzne życie— zdawali się je rozumieć. Czarna trumna przetworzyła się w ich oczach i stała się miłym, bezpiecznym łóżem, przybranym naokół znakiem krzyża święte-

go, dokąd nie dotrze już żaden smutek, ni kłótnia, żadna waśń lub troska.

Biednemu, staremu, dziecinniałemu dziadusiowi będzie tu dobrze; może sobie spać spokojnie, nie musi zrywać się do pracy i zajęcia. A duszyczce jego dobrze też będzie u Pana Boga. Tam i my dostaniemy się kiedyś przy Boskiej pomocy. I wszystkie głowy pochyliły się, niejedno oko łzą nabiegło, gdy psalm zakończył się tą pełną prostotnej ufności modlitwą:

Dopomóż nam w walce
aby, gdy ona się skończy
dostała nam się palma
i korona życia!

Po psalmie miał nauczyciel krótką przemowę, w której prostymi i łagodnymi słowy przedstawił to, co w taki dzień wszystkim nam na myśl przyjść może. —Powinniśmy pamiętać— mówił— że jesteśmy jako trawa i siano, które puszczą się, jest młode i silne i zdaje mu się, że cały świat stoi otworem, wtym musi zwiędnąć i nowa trawa wyrasta na miejscu, gdzie ono rosło przedtym. To też nie powinniśmy uważać się za osiadłych

tu, lecz wiedzieć, że to życie jest tylko wstępem do wyższego—z tą myślą przed oczami powinniśmy tak żyć, aby nam było łatwiej znieść i dźwigać brzemie życia.

Staruszek, spoczywający w trumnie, po tyloletniej walce zasłużył sobie rzetelnie na taką przemowę i pożegnanie od krewnych i powinowatych.

Przy dźwiękach psalmu wyniesiono ciało i przymocowano do długiego wozu, który miał starca powieść w ostatnią jego drogę.

Wrzawa powstała na podwórzu. Ludzie krzatali się, zaprzęgali konie, szukali swoich. Pośród powagi widać było i radość — jasnym okiem spoglądano w zachmurzone niebo. We wszystkim zostawało życie po śmierci.

Naokoło wozu, na którym stała trumna, biegało kilka młodych dziewczątek, bawiąc się w łapankę. Okręcały się, skakały i znów znikały, a pradziad z trumną i wozem swoim tak dobrze im się ustawił, że trudno je było złapać. We drzwiach i na schodach stały matki i star-

si gospodarze, spoglądając z powstrzymanym uśmiechem na zabawę dzieci.

— Ha, przecież to w górach!

To nie była śmierć. To było życie wielkie, świeże życie, życie natury, życie na swobodzie z wieczystym rodzeniem się i usychaniem, z młodą, puszczającą się świeżo trawą na zeschniętym sianie.

Starzy i Młodzi.

Spytałem raz pewnego starca:

— Czego nauczyło cię życie?

Spojrzał na mnie wzrokiem, nawykłym do patrzenia w dal i odparł:

— Młody byłem i wiedziałem wszystko. I nie skąpiłem swojej wiedzy innym: dzieliłem się tym, com wiedział i czego nie wiedziałem i dziwiło mnie, że moje wielkie słowa nie zdobyły świata.

Żal mi było starych ludzi, którzy już nie mają na co czekać. Ale gdy mówili o życiu i chcieli mnie pouczyć, czym ono jest, śmiałem się. Mrugałem oczyma do swoich rówieśników, mówiąc: biedaki, ci starcy, co oni wiedzą o życiu, którego zapomnieli?

Dojrzewałem z czasem, przechodziłem dobrą szkołę.

A była to szkoła, o której istnieniu nie wie, kto jej sam nie przechodził.

Nauczycielem w niej był ogień pożądania, a nauką rozczarowanie. A szkoła trwa długo, bo złud jest dużo i coraz to nowych w miarę nowych pragnień. Nie dostanie ci się to, czegoś pragnął; albo otrzymasz ale właśnie nie to, czego chciałeś lub wreszcie uzyskasz, czegoś pożądał na to tylko, aby je utracić natychmiast. Prace twoje mało ci przyniosły pociechy. To, na czym najbardziej polegałeś, stało się twoim upadkiem i zgubą. Ci, od których spodziewałeś się pomocy, byli kamieniem na drodze twojej i siwym włosem na twojej głowie.

Do tej to szkoły chodziłem. I uczyłem się a uczyłem. A im więcej się uczyłem, tym mniej umiałem.

Dziwne cię ogarnia uczucie, gdy znajdziesz się po drugiej stronie widnokregu: widzisz, że wszystko jest inne, tak zupełnie odmienne; wtedy powtarzasz raz wraz: życie jest kłamstwem.

I bardziej, coraz bardziej przerażony stajesz i wpatrujesz się w ten świat niebieski, wyglądający tak uczciwie—zdaje

się wkońcu, że nic nie rozumiesz. I pytasz sam siebie: będę jak głupiec chodził po tym świecie?

Ale to jeszcze nie wszystko. Nie skończyłeś nauki, jeżeli poprzez fałsz i kłamstwo nie dojrzałeś prawdy.

A do tego daleko.

Pewnego razu stanąłem bezradny i upadły na duchu i spojrzałem w przeszłość — wtedy to zapewne posiwiałem. Gdyż strach mnie zdjął i trzymał mnie długo. Poznałem i głośno przyznałem się do tego:—zaprawdę, teraz jesteś stary. A życie twoje skończyło się, przypadło marnie. Powiedz mi, mój poczciwcze, coś z nim uczynił?

Niema odpowiedzi.

Jałem tedy uspokajać się, jak umiałem najlepiej — i pocieszyłem się, jak zwykle bywa.

A mężowi, który żył w błędzie, a potem wejrzał w siebie i ocknął się pełen lęku i męki, pociechą są słowa: będę świadectwem dla innych, dla młodszych mych braci, aby nie popadli w tę samą nędzę. Wtedy powie sobie: przynajmniej nie żyłem na próżno. Przeznaczeniem

życia mego było, aby gorące moje pragnienia uczyniły mnie nauczycielem i kierownikiem innych.

I braciom swoim młodszym, tym, którzy jeszcze mieli swobodę i mogli pójść drogą, którą sami obiorą, dowodziłem:

— Bądźcie rozumni! Nie wierzcie życiu! Ono wydaje się tym, czym nie jest. Wszystko, za czym my szaleńcy ubiegamy się, to mrzonka, to głupstwo, to błędny ogień, który wabi nas na manowce, a gdy znajdzie się na nich, nie możemy znaleźć wyjścia — on zabłyśnie i zniknie nam z przed oczu.

Wtedy śmiali się młodzi. Mrugali do siebie oczyma i mówili: biedni ci starzy, co oni wiedzą o życiu, o którym zapomnieli!

To była także lekcja.

I mnie ona wystarczyła.

Młodzi nie mogą nauczyć się od starych, inaczej byliby sami starzy i nie posiadaliby odwagi życia. A tylko ten może coś zyskać, kto ma odwagę. Dlatego istnieje rozdział między starym a młodym i nie mogą się zrozumieć. Każdy

z nich, stojąc po swojej stronie ulicy, przemawia swoim językiem. — Każdy musi sam poznać niebezpieczeństwa życia i jego niedolę.

— I nie ty, lecz ja — powiada ogień pożądania — jestem przeznaczony, aby stać się nauczycielem młodych. Ty bądź zadowolony, gdyś przyszedł do przekonania, że możesz być sam sobie nauczycielem.

Umilkłem.

Ogarnęło mnie wielkie zwątpienie, ale był i spokój w tym zwątpieniu.

I przyszły mi nowe myśli, spokojniejsze, niż dawne — może to jest rzecz najważniejsza dojsć do tego, aby sobie samemu być nauczycielem?

Zbudziła się we mnie wielka pobłażliwość i z uśmiechem patrzyłem na gorączkowe usiłowania młodych, aby świat zawojować.

Właściwie żal mi ich — tak daleko mają, a czeka ich tak dużo przejść!

Kiedy mówią mi o życiu i chcą mnie pouczyć, czym ono jest, śmieję się, mrugam okiem na swoich rówieśników i po-

wiadam: biedni ci młodzi, co oni wiedzą o życiu, którego nie poznali!

I z głębi serca wyrażam życzenie: aby posiadali w sobie jak najwięcej tej młodości! bo tylko przez prawdziwą młodość wiedzie droga do mądrości.

NA HALACH.

I.

Na wiosnę porzucało się studencką izdebkę na poddaszu w Oslo, a zwykła droga wiodła na zachód, do Jaeren.

Dość już mając parowców i turystów przebywałem tu latem, odpoczywając.

Chodziłem sobie po wrzosowinach i po wybrzeżu, marząc i słuchając ćwierkania i krzyków ptactwa błotnego i morskiego.

Za nadejściem jesieni trzeba było znów pomyśleć o książkach.

Chciałem tedy wolny być od parowców i turystów, wziąłem więc tobolek i nogi na plecy i ruszyłem w góry, ścieżkami, którymi nikt nie chodzi, chyba pasterz ze swoim bydłem, zbieracz jagód lub skaczący zając albo lis. Niekie-

dy zapuści się niemi jaki handlarz albo złodziej—a nareszcie gromada cyganów chyba.

Na najwyższym miejscu, gdzie wzgórze zlewają się z bielą i lazurem, usiadłem, żegnając się z morzem i rodzinnym miejscem. Utworzyło ono piękny, ogromny obraz z połyskującą metalicznie rzeką wśród różnolitości tonów barwnych: tu i owdzie zieleniły się kępki na przestrzeni brunatnej kończącej się białym brzegiem — po za nim wydęte niby pancerz, błyszczące jak stal morze lśniło się w bladym, jesiennym słońcu.

— Bywaj mi zdrowy, ojczysty domu mój!

A zatym naprzód, w góry! W granitowe skały, poprzez ciasne doliny, strome ścieżki, głębokie przepaści — przez zawrotne perci, gdzie kroczyć trzeba śladem bydła, drapać się po długich, wrzosem krytych upłazach, wspinać się na szczyty, przeskakiwać wodę, brodzić po trzęsawiskach, w górę i w dół—a wciąż naprzód!

Tu dopiero jestem bezpieczny. Tu nikt nie przyjdzie, aby mi przerwać wątek

myśli lub przedzę miłych snów pozdrowieniem:—Dzień dobry! a to mamy pogodę! Nikt tu nie spęta mojej duszy obcemi myślami! Jeżeli zaskoczy mnie ktoś, to chyba zając przebiegnie lub mały pastuszek, który tu się wyprawił z bydłem i zbiera jagody lub wdrapawszy się na kamień siedzi zadumany, zapatrzony, aby zniknąć znów między koso-drzewiną i spokojnie pasącym się bydłem.

Jestem już wysoko. Pusto tu i nago. Jestto krajobraz odrębny—każdy cudzoziemiec powie, że tu brzydko; ale tu są moje góry, mnie tu jest dobrze. Nic tu niema, tylko kamień i kamień. Nizkie, rzadkie skały, w dole, ogolocene z lasu, wyżej nawet i z krzaków, wydają metaliczny dźwięk. Spiętrzyły się tu one od wieków, porysowały się i zczerniały na wicherze i deszczu, popękały od mrozu i potoków. Stromo sterczą niby szare mury zamknięte wrotami, napół w gruzach i zdają się być porośnięte mchem ruinami po budowlach jótunów *).

*) Olbrzymów.

Wszędzie pełno kamieni, jakby je kto rozsiał naokół, wielkie i małe, oderwały się one od budowli a brunatna ich barwa w ciągu długich lat przybladła. Wielkie, kamienne olbrzymy, odłamy skalne z lodowej epoki strzelają ku niebu ze szczytów i grani, często uczepióne na najwyższym cyplu, skąd, zda się, mogą spaść każdej chwili.

Wielkiej różnaitości barw nie przedstawia to pustkowie. Kamiennie-szary i kamiennie-błękitny kolor naprzemian z brunatną barwą wrzosu i z zielenią trzęsawisk w dolinach lub z górskim torfowiskiem przeważają — tu i owdzie, na zboczu żółcą się liście brzożowego gaiku lub krwawią się żywe, czerwone jagody na młodej jarzębinie. W rozpadlinach skalnych i w dolinach błyszczą ciemne aż czarne błotniska, długie, sine jeziora a po okrągłych kamykach z szumem i pluskiem stacza się potok.

Rzadko kiedy, niespodziewanie, niby widzenie senne ukaże się wśród złomów kamiennych mała ludzka osada: kilka maleńkich, torfem krytych domków, do słońca zwróconych, najczęściej nad wo-

dą, niekiedy dom mieszkalny i stodoła razem, z łąkami i polami w pośród żwiru i skalnych złomów — a wszystko ogrodzone wysokimi płotami kamiennymi.

Jednego dnia spotkałem dwie takie sadyby i na widok ich stanąłem zadumany, jak gdyby przed jakąś świętością. Oto życie stacza tu ustawiczną walkę z kamieniem i odnosi zwycięstwo, powstają budowle na skałach nagich, podobnie, jak wytrwała, górska sosna, wcisnąwszy się w złom skalny, rośnie, żywiąc się niewiadomo czym. Kto kocha życie i niekiedy trwoży się myślą, że śmierć je pokona, niechaj zajdzie tu, między te kamienie, a pozna, co to jest chęć życia.

Wszedłem do pierwszego domku. Siedziała w nim stara, poczerniała babina w towarzystwie kotka i małego dziecka, bawiącego się jej spódnicą i przedłą. Spojrzała na mnie wielkimi, zdziwionymi oczyma i zapytała:

— Skądże jesteś?... Aa! jesteś Garborg? A czyim żeś synem?... Ach, to to z tych!... Odrazu poznajomiliśmy się.

Nakarmiono mnie... ale musiałem

«przyjąć to, co u nas jest», więc zsiadłe mleko, placek z masłem i bryndzą, prawdziwą bryndzą, delikatniejszą w smaku od Roquefortu — taką jadałem tylko w dzieciństwie, u mojej matki.

— Musi ci to wystarczyć — powiedziała — tu niema kawy, ani bułek, jak po wsiach w twoich stronach, ale cóż my, biedacy, mamy robić? My ta nie uczeni, nam i to smakuje.

Siadła napowrót do kołowrotka i przędąc, rozmawiała. Przyjemnie to bardzo, gdy się ktoś zjawi. Można się popytać o różne rzeczy i pomówić o tym i owym. Opowiedziała mi też o mojej rodzinie więcej niż sam wiedziałem, a jako nowy rozdział w tej historii rodu, krótkimi rysami przepowiedziała sobie mój życiorys. Nauczyła mnie ona w tej chwili tego, czego mi nie mogły dać wszystkie moje studia i na co dotąd sam nie zwróciłem uwagi, a mianowicie, że mój rodzinny język jest piękny i nadaje się do literackiego opowiadania.

Skierowałem tak rozmowę, aby mi co opowiedziała o życiu w górach.—Czy to nie nudno siedzieć tu, między temi dzi-

kiemi skałami i męczyć się i pracować, nie mogąc zdobyć nic ponad nędzne utrzymanie?—pytałem.

Rozśmiała się. Ach nie! Tu przecie nie dzikie skały. A nudno też nie jest temu, kto ma się czym zająć. Ale skoro mówię z takim lekceważeniem o utrzymaniu, radaby się dowiedzieć, czy nauczyłem się tego w moich wyższych szkołach? Życzyłaby mi więc, abym na sobie nigdy nie doświadczył, co to znaczy utrzymanie. Czyż sam Pan Bóg nie nauczył nas modlić się o chleb powszedni? I czy nie napisane jest, że skoro się ma co zawdziąć i co jeść, powinno się być zadowolonym? Kto ma to, co potrzebuje i czyni to, co powinien, nie może się dość nadziękować Panu Bogu!

Słuchałem ze zdumieniem. A więc ona jest zadowolona? broni swoich kamieni! A więc postęp do gór wcale jeszcze nie dotarł? Jak ta kobieta mówiła, mawiali za moich lat dziecinnych staruszkowie w mojej wsi rodzinnej.

— Jakże możemy żyć bez pracy? — pytali.

Teraz mówią po wsiach, jak my w mieście:

— Jakże można żyć bez pieniędzy?

I narzekają i jęczą niezadowoleni. I niezadowolonemi powinni być—bo niezadowolenie rodzi postęp — powiedział Stuart Mill. No, z czasem i do gór dotrze niezadowolenie! — pocieszałem się.

Niebawem poznałem całe życie tutejsze, zewnątrz nędzne, wewnątrz bujne. I powoli zacząłem pragnąć, aby jednak ów postęp nie śpieszył się bardzo z wejściem w te górskie wioszczyny. Alboż nie dość, że miasta i wielkie wsi poddadzą się postępowi?

— Nie, niema co wydziwiać na kamienisko—ciągnęła dalej babulka. Tu, w górach mamy dobrą ziemię, o wiele piękniejszą i lepszą niż na łąkach w Jaeren. A chociażby tylko jagody, jakie tu rosną! Ożyny i borówki takie duże a soczyste, że aż pieką w język, nigdzie takich niema! A ta błogosławiona, doskonała pasza. Gdzież by się pokrzepiło bydelko, jeżeli nie w górach przez lato? W Mjaalandzie i ich bydło i te z Jaerenu znajdzie dość paszy, to też chowa

się, chowa jak rzadko gdzie. I niejednen błyszczący talar wpadnie za nie i jest czym zapłacić podatek. Ach, błogosławiona trzódka! Daje nam odzież i żywność, wielu też i tu i na południu nie ma innego utrzymania. A zawdzięczyć to mogą tylko tej naszej górskiej paszy. Dalibóg, dobrze byłoby wiedzieć, ile też stad pasie się rok w rok po wszystkich halach od Synesvardeu po Sirdal i od górnych hal aż het po Saetisdal.

— Znam zapewne Larsa Haalanda?

— Nie.

A przecież muszę być z nim spokrewniony, jeżeli się nie myli... ze strony matki. On jest het na górze tego roku także i pasie bydło... het, po drugiej stronie jeziora. Jeżeli tam dotrę w swojej niezwykłej wyprawie, może się z nim spotkam, jego mogę się popytać, on na pewno będzie wszystko wiedział.

Syty i wypoczęty pożegnałem się i odszedłem. Staruszka wyprowadziła mnie za próg i wskazała mi drogę i kierunek, którego się mam trzymać. Krok miała lekki, jak młoda dziewczyna. Rozstaliśmy się jak matka z synem.

— Bądź zdrow, szczęśliwej drogi!
A gdybyśmy się już nie mieli zobaczyć
na tej ziemi, spotkamy się na pewno
tam, w lepszym życiu!

— Powiedziała te pospolite słowa tak
serdecznie, że poczułem, iż oczy mi za-
szły mgłą, więc coprędzej puściłem się
w drogę.

II.

Droga prowadziła koło zabudowań
ludzkich, to znów odludziem, szedłem to
drogą, to znów bezdrożem, w towarzy-
stwie lub samopas, póki się nie wydo-
stałem na główną drogę, prowadzącą na
hale. Miałem ochotę spotkać owego
Larsa. To musi być przedziwna roz-
kosz mieszkać tak wysoko i paść bydło.
On mi wszystko opisz.

Widziałem dużo gór, niejeden dzień
spędziłem w nich, wałęsając się po do-
linach wrzosem porośniętych, pnąc się na
szczyty, o których nigdy turyści nie czy-
tali i na których mogę używać spokoj-
nie ja i jeszcze dwóch lub trzech podob-
nych do mnie dziwaków, którzy śpieszą

do tych gór, lubując się w ich wielkiej ciszy. Bogu dzięki! Norwegja jest bogata. Chociażby Anglicy i mieszcuchy zabrali nam Hardang i Jötunheimen, zostanie jeszcze coś dla nas, maluczkich, poetów, bo wielki, wielki jest ten śliczny kraj — tylko w miastach jest Norwegja mała.

A wszędzie, gdzie się tylko zjawilem, spotykałem zacnych, dzielnych, wytrwałych ludzi, którzy sprawić umieją, że coś się rodzi nawet w żlebach a żalą się daleko mniej, niż czynić to zwykli ludzie tam, gdzie im żyć łatwiej. Coraz bardziej kocham ten lud a mniej, z każdym dniem mniej troszczę się o «postęp». Postęp — toć przecież tylko wyraz. Być może, iż z tym dzieje się, jak z wielu innymi rzeczami, to jest, że co się zdobywa przed sobą, traci się za sobą. A przecież dobra to rzecz, gdy ludzie są zadowoleni i radzą sobie w zyciu!

Schodzę do Sirdalen, najdłuższej z zachodnio - norweskich dolin rzecznych, które nie są niczym innym jeno dawnym łożyskiem rzeki, wyżłobionym w górach przez tarcie lodu, pęknięcie od mrozu,

wyplukiwanie wodą, szlifowanie żwir-
rem, przez miliony lat; wreszcie porost
i mech utrwaliły się na jakiejś wydmie
piaszczystej lub w gliniastym pokładzie
jakiejś osuniętej góry i poczęła się wy-
trwała walka ze wszystkimi huczącemi
i burzącemi potęgami i powstała pod-
stawa życia wyższego, które później
jeszcze wyżej sięgnęło.

Wieczór zapada: siedzę na skałce, na
skraju góry i patrzę w dolinę cichą, zam-
kniętą, z rzeczułką ciemną a połyskliwą,
wijącą się w skrętach i zwojach łagod-
nych, omijającą wszystkie przeszkody
i przedzierającą się nawet przez skały.
Bo kto chce iść naprzód, dostanie się na-
przód, chociażby go olbrzymy przycis-
nęły.

Myślę, jakby tu znaleźć nocleg. Het
w dole, za szczytem góry bieli się w po-
śród drzew jakiś dom, ale to daleko a jes-
tem zmęczony. Wkońcu oko moje szu-
kające odkryło w zaroślach stóg siana—
tu się zaprosiłem w gościnę. Niebawem
znalazłem się tam. Dobrze to leżeć na
suchym, ciepłym sianie; wietrzyk nocny

i górskie strumyki kołyszą mnie do snu łagodnym szumem.

— Nazajutrz puściłem się doliną i przyznać się muszę, że miło mi było czuć grunt pod nogami. Ale zaspany byłem jeszcze, nieumyty i jakiś nie w humorze, to też nierad ujrzałem zdążającego za sobą jakiegoś utykającego człowieka, który widocznie ciekawy był, co ja zaczę?

Nucąc pośpieszałem naprzód w przekonaniu, że nie dogoni mnie, chociażby miał siedmiomilowe buty. Ale zawiodłem się. Chwycił mnie i musiałem go słuchać.

Był kulawy, więc raczej skakał niż szedł. W szerokiej, opalonej twarzy miał tylko jedno oko, ale żywe, patrzące bystro za dwoje, a błyszczało niby oko ptaka, w gruncie poczciwe.

Przedstawił mi się odrazu. Tokarzem i kowalem był z profesji—ale jesienią podróżował chętnie i włóczył się, handlując owcami, czego nie powinien by właściwie czynić, bo go tylko oszukiwali. Tak, najświętsza prawda! Ale taką już ma naturę. Skąd idę i dokąd

dażę? Gdym się pytał o drogę, odległość od jeziora i wymieniłem Larsa Haalanda, mrugnął okiem chytrze, wierzy, naturalnie. Ale on chciałby—chciałby też wiedzieć, jakie są ceny owiec w okolicy Stavangeru.

Skoro nie mogłem mu dać żadnych wskazówek co do cen, łypnął okiem, i rozśmiał się.—Łebskiście! he! he! O, ludzie z Jaerenu to zmyślne chłopaki! Ale jego nie mam powodu bać się... my tu, w Sirdalen poczciwi jesteśmy i dobrzy z kościami! Prości chłopci, co harują, mozolą się, a żyją jeno mlekiem z kaszą... zajmują się tylko handlem trzodą... ino tym, niczym innym, od lat, hej! A ceny owiec wysokie tego roku...

— To mieszkańcy tutejszej doliny mogą się dobrze mieć? — wtrąciłem, aby zwrócić rozmowę na coś innego.

Spojrzał na mnie uważnie.

— A, tak. Harówka, mozół, kasza z mlekiem, jak powiedziałem, ale skoro można wyżyć, to już nie trzeba narzekać. A jeżeli ktoś ma szczęście i chęć do pracy, powodzi mu się dobrze do czasu... bo pracy tu nigdy nie zabraknie.

Nie, dalibóg! Ale jak to będzie z młodemi, co teraz dorastają, a tracą coraz bardziej zamiłowanie do pracy? — tego sobie nie może wyobrazić. Znać już teraz wielką różnicę. Ci, którzy trzymają się dawnego sposobu, pracują z upodobaniem, zabiegają i harują od świtu do nocy, bacząc, aby wszystko było jak się należy, upatrując w tym całą nagrodę, nie zaś w kawie i bułkach, — tym się powodzi i Pan Bóg im błogosławi; ci trzymają się, chociaż podatki rosna. — Ale wszyscy ci dzisiejsi, którym tylko idzie o zysk, którzy przeklinają pracę — co z nimi będzie? Nie rodzi się nic po rękach, które nie pracowały z ochotą. Nie, dalibóg! I nawet zysków żadnych nie mają. A jeżeli nadarzy się dobry rok jeden lub drugi, zyski te idą prędzej jeszcze, niż przyszły, na wódkę, stroje i wszystko to, w czym mają upodobanie, straciwszy je do pracy.

— Nie! — dodał, popadając w prawdziwy zapał — jeżeli tak dalej pójdzie, doliny te wkrótce wyludnią się zupełnie. A wtedy cyganie zagarną wszystko. Hehe! Szliście z Jaeren aż do Sirdalen

i nie napotkaliście cyganów? Oni się tu kręcą swobodnie, zjawiają się i znikają jak kozice. A biedny lud, który mieszka odosobniony, nie mając żadnej opieki, musi się kumać z cyganem i dawać mu podatek, cło i dziesięcinę, jak każdemu innemu królowi. He! he! Dalibóg! A potym największy cygan, który ze swojej strony ssie i gniecie chłopa... to łacinnicy, jak ich nazywa Jaaback! Pewnie trzymacie z Jaabackiem? — na tyle przecie macie rozumu!... On jest Jaabackianinem... Zeszedł na politykę.

— Bądźcie zdrowi! — powiadam.

Ale nie puścił mnie, lecz dalej ciągnął: łacinnicy to najgorsi... bo nietylko że wysysają i gniotą chłopa jak pijawki, a najgorsze to, że oszukują biedną młodzież i każą jej wierzyć, że na tym świecie powinniśmy sobie siedzieć na wyścielanych krzesłach i pykać z fajeczki... Widziałem ja dość takich, wreszcie nie... Nie, poczekajcie no jeszcze. Chciałem się was zapytać... jakże tam ceny bydła w Stavangerze? Tak, pytam się... bo tak mi się jakoś widzi, że i wy jesteście także handlarzem.

Powiedziałem, że jestem studentem.

— Łacinnik, jak Bożię Kocham! rozśmiał się; małe, błyszczące oko łypnęło chytrze i wesoło.—At, Jaereńczyk! jakie to podstępne i przemyślne! He! he! he! he!—śmiał się. Wreszcie mnie puścił. Ostatnie, co słyszałem były słowa:— Powinniście iść na prokuratora!

Po tym spotkaniu nie czułem się bezpieczny, póki się znowu nie znalazłem ponad rzeczką Sir, w górach. Tam popasałem: zjadłem ostatni kęs kiełbasy, zapaliłem fajkę i odpocząłem. Słońce grzało, strumień wyśpiewywał. Dobrze mi było na świecie. Tak, góry miewają swoje chwile uroczyste. Jeszcze teraz błogo mi się robi na duszy, gdy sobie uprzytomnię tę chwilę.

— Ścieżka prowadziła najpierw przez zarośla lecz niebawem znalazłem się w skalistym pustkowiu. Tu było uroczo. Na lewo rzeka spokojnie płynąca, z drugiej strony prostopadle upłazy górskie, a przedemną sine skały, jak daleko sięgnę okiem; tu i owdzie, w miejscach słonecznych jakiś gaik brzozowy lub duże, czerwone krzaki tarniny. Lekki

wietrzyk igrał w powietrzu, a ponad wa-
łem górskim na północy poczęło się chmu-
rzyć.

Ścieżka była wązka lecz wygodna:
w dół i w górę, pomiędzy kamieniami,
złomami wielkimi i przepaściami wiła
się podstępnie — tu i ówdzie musiała
w pomoc przyjść siła ludzka, ale widocz-
ne było, że kozice, według słów Vinje-
go, były pierwszemi przewodnikami.
Im wyżej, tym trudniej było iść; nie mógł
oddać się dumaniom, kto tedy szedł, a pra-
gnał wyjść z wszystkimi gnatami.

Gdym szedł wążąc i mierząc każdy
krok, nagle ujrzałem z poza wielkiej
bryły wylaniającego się drobnego, chu-
dego, śniadego człowieczyne, z czarnym
włosem, w szarym odzieniu, obdartego
i brudnego, z worem na plecach; za nim
szedł mały, szczupły, ciemnej cery chło-
piec, jeszcze bardziej obdarty i brudny,
dalej długa dziewczka jasnowłosa, o sza-
rych oczach z brzemieniem na ple-
cach; na ramionach miała koromysło *)
z wiadrem blaszanym, które lśniło się

*) Nosidło do noszenia na ramionach.

od słońca. Potym szły dwie ciemne brzydkie dziewczynki, półnagie, a na końcu szczupła, śniada kobieta o dużych, czarnych oczach i kruczonych włosach, spadających w nieładzie na czoło i uszy; na plecach niosło dziecko poobwijane. Przystanęliśmy wszyscy.

— A co za miłe spotkanie! odezwali się.

Ale ja nic tu miłego nie widziałem. Ścieżyna była tak wązka, że miejsca było tylko na jedną osobę a przed nami i za nami przepaść.

Było to miejsce jak wybrane do zgładzenia człowieka. Ludzie gdzieś za milami, skały zamykają wszystko w koło, miejsca na grób w dowolnej ilości. Mogli mnie tu zarznąć jak barana, jeden mógł trzymać, inni zabijałiby. Stałem, mierząc ich okiem, jak też silni być mogą? Oni ze swej strony zdawali się także mierzyć mnie, jaką wartość przedstawiam w pośród braci? Wtym opodal siebie zauważyłem jakiś płaski kamień, wskoczyłem na niego i otwarłem im drogę. Dziękowali i błogosławili mnie, ale się nie ruszali z miejsca.

Niewiele słów zamieniliśmy z sobą do tej chwili. Teraz jął ów pierwszy mówić: prędko, głucho, trochę ostro, a mianowicie o promie, który pożyczycy i o drodze, która stawała się później coraz gorsza—czybym też nie zechciał zrobić im tej łaski i zabrać z sobą prom do najbliższej zagrody, bo nawet mi się bardzo przyda w dalszej drodze? Przytakiwali mu wszyscy rozmaitemi ruchami i łyskaniem oczu, a niebawem wszyscy naraz mówili o tym promie. Przystąpiłem na wszystko, czekając tylko, co dalej będzie.

Ale nic nie było—odeszli. Dziękując i błogosławiąc mnie, zniknęli wśród skał, jak z nich się wyłonili. Widocznie niewysoko mnie oszacowali—pomyślałem—i poszedłem w swoją drogę.

Niestateczny to naród i kłamliwy... wielkie dzieci i nicponie. Ukradli zapewne prom, a teraz lękają się pogoni właściciela i chcieliby go powstrzymać, odsyłając mu go przezemnie, podobnie, jak mówią o nich, że bronią się od wilków w zimie, rzucając im swoje dzieci, jedno za drugim. Bo dzieci zawsze

jeszcze mieć mogą, a życia drugiego nie. Ale mnie nie okpią. Zostawię skradzioną rzecz na miejscu, niech sobie radzą, jak chcą — zdecydowałem.

W pół godziny później siedziałem na promie. Ścieżka mi się gdzieś zgubiła, a skały stawały się coraz bardziej niedostępne, to też przyjąłem nadarzającą się pomoc i rad z niej byłem. Tu, na halach, człowiek nie może być tak bardzo wrażliwy na prawne drobiazgi. Niema rzeczy tak złej, która by się na coś nie przydała. Zdarzyć się może, że się i prom ukradnie!

III.

Zresztą nie było żaden prom lecz płaska, czworokątna, szeroka tratwa z desek zbitych końcami. Wiosła były długie jak maszty, a przecież mogłem je zaledwie w wodzie zanurzyć, siedząc na samym środku.

Leżąc niemal, pracowałem porządnie, czasem posuwałem się środkiem, niekiedy z powodu wydmy piaszczystej, szedłem znów kawałek lądem i tak krok za

krokiem posuwałem się naprzód poprzez głębokie, sfalowane wody. Szło mi coraz ciężej, coraz trudniej — dęło coraz mocniej. Jak drapieżne ptaki, rzuciły się na mnie wichry, zrywając mi kapełusz, kołysząc tratwę, czerniejąc, niby ponure cienie ponad szumiącą i burzącą się rzeką. Spostrzegszy, że suną już i wszere rzeki, wyciągnąłem tratwę na ląd i puściłem się pieszo.

Na północy tymczasem zageściło się zupełnie — pociemniało jeszcze bardziej, fale podniosły się wyżej... należało spodziewać się deszczu. Nie będzie więc celu puszczać się na hale dziś wieczorem, tym bardziej, że nie znam drogi, a trzeba będzie przechodzić wpław rzekę.

W tym zamajaczyła mi już chałupa, która ma stać na skraju drogi, wiodącej na hale. Postanowiłem w niej przenoć. Przewodnik mój drukowany dobrze się wyrażał o tutejszych prowiantach i łózkach — tylko pchły! Eh, pchły nie odstraszą przecież żadnego Norwega. Pchły to niewinne stworzonka, w gruncie rzeczy szlachetnego rodu — włoskiego pochodzenia... sama nazwa

też jest szlachetna — angielska! Kilka pcheł ścierpię! Tymczasem przez noc deszcz się wyleje, a nazajutrz znów będzie pogoda.

W kilka godzin później znajdowałem się w drodze poprzez grzbiet górski na hale. Nie pchły mnie odstraszyły... ani właściciele schroniska, którzy przyjęli mnie dobrze, napełnili mi torbę dobrymi wiktuałami po niskiej cenie i wogóle uprzejmi byli i serdeczni. Ale było tu tylka jedno jedyne łóżko gościnne, a przedemną już zawitał tu gość jakiś. Iść zaś do stodoły i tam się położyć, skoro było łóżko, traciło niedelikatnością zarówno względem domowych jak owego gościa. To też odpocząwszy przy kawie i wyładowawszy torbę i wór zapasami, nagle nabrałem ogromnej ochoty do pójścia w góry, tym bardziej, gdy się dowiedziałem, że Lars Haaland, ów krewniak mój, jeszcze bawi w szałasie za rzeką, a miał zamiar schodzić już z trzodą... jutro napewno... nie dziś, przypuszczali. Upewniali mnie przytym, że prom znajdę bez wszelkiej wątpliwości — gdyby się znaj-

dował z drugiej strony, wystarczy tylko zawołać.

Puściłem się więc, na odważnego! Płaszcz od deszczu i kapelusz odpowiedni miałem na wszelki wypadek, zresztą wyglądało, jak gdyby się miało rozpo-godzić. Szło się dobrze, lekko — zanim noc nadejdzie miałem jeszcze dobrych trzy do czterech godzin—jakoś to będzie! Gdy znalazłem się na górze, na drodze, któredy pędzą bydło, zaczęło kropić.

— To zapewne przejściowy deszczyk, tak jasno w powietrzu—pocieszałem się.

Ale okazał się to deszcz wcale porządny. Ciężki, rześisty, z tych, co to moczą dobrze. Wydobyłem płaszcz oliwą napuszczony i kapelusz, mówiąc w duchu:—kto też kogo przemoże—ale nie zdążyłem się jeszcze w to ubrać, gdy deszcz ustał.

A teraz w drogę pełnemi żaglami! trzeba korzystać ze światła dziennego! Dobrze mi się szło, droga mi się podobała: była to dawna droga dla bydła. Niekiedy rozszczepiała się, lecz znowu zbiegały się odnogi. Wszystko dobrze się skła-

dało, byłem zadowolony, że się nie położył w małej, ciasnej, górskiej chacie.

Nowy deszczyk. I cóż? Tylko odświeży powietrze. Deszcz to właściwie mój ulubiony stan powietrza, a zwłaszcza taki porządny deszcz... zupełnie jak ten, ostry, ciężki, bębnił w płaszcz..., wtedy czuję się najlepiej. A gdy wejdę do szałas, roznieci się ognisko, sporządzi się tod-dy, wysuszę się, ogrzeję; Lars wpadnie w dobry humor i będzie opowiadał o pasterskim życiu na halach.

— Cóż to za śmiech? beczenie. A, owce! Stadko... kilka stad... wielkie i małe suną jak białe obłoczki na tle ciemnego wrzosu. Rozbiegają się, to znów zbiegają, niespokojne na tym deszczu.

Większe, coraz większe robi się stado. Poznałem: było cały spęd, kilka setek owiec. Małe psy biegały w jedną i w drugą stronę, zapędzając owce, aby trzymały się mniej więcej jednej linii. Niebawem wypełnił się wąwóz szczekaniem, beczeniem i podobnymi głosami. Dwuch poganiaczy zamykało pochód, jeden nawoływał psy i kierował, drugi szedł za nim, prowadząc konia; ten pil-

nował, aby żadne z bydła nie zostawało w tyle.

Serce mi zabiło mocno. To zapewne Lars. A więc chata za rzeką będzie pusta. Ledwie zdążę na noc—a jeżeli się jeszcze bardziej zasłoci?

Zatrzymałem się przed człowiekiem z koniem i pozdrowiłem go. — Jeżeli to Lars—pomyślałem — to najlepiej zrobię, trzymając się jego i stada. Muszą przecież mieć jakieś schronisko, budę jaką, co bądź, gdzie noc przepędzą—i tam moglibyśmy rozniecić ogień...

Byłto rzeczywiście Lars... ale czasu nie miał na gadanie. Przystanął chwilę, lecz zaraz ruszył dalej, za bydłem. Musiałem iść za nim. Lars widocznie takiej pogody nie lubił — nie był w humorze. Pytania moje zbywał samymi krótkimi odpowiedziami. Do rzeki jest mila, jeżeli pójdę najkrótszą drogą. Tak, wygląda na deszcz. Ach, pójdzie jakoś, jeżeli się pośpieszę. Najprostsza droga prowadzi tędy, poprzez wyłom a potem... I wskazał północny wschód. Rozglądałem się po wyłomie, a potem odwróciłem się... ale już Lars z koniem daleko byli

odemnie. Odeszła mnie ochota napicia się todty z tym moim krewniaczkiem, puściłem się w swoją drogę. Byle dotrzeć do chaty. Tam sobie rozniecę ognisko i sam wypiję todty i sam spróbuję życia pasterskiego na halach.

Deszcz ustał, wypogodziło się. Byle tylko chciało wytrzymać czas jakiś!

Ale nie chciało. Niewiele uszedłem, gdy znowu się opuścił — potężny deszcz. Ciężkie krople a gęste i coraz gęściejsze, gęściejsze, aż zaczęło lać strumieniem. Było największy deszcz, jaki przebyłem na dworze. A zwiększał się coraz bardziej, aż mnie przerażenie ogarnęło. A może to oberwanie chmury? Otwarły się niebieskie upusty — wyło, pieniało się, buchało zewsząd. Wiatr świszczwał po halach. Nigdy, nigdzie tak nie pada, jak w tych nagich górach. Było to okropne, a jednocześnie majestatyczne, jak zawsze, gdy dzikie jotuny chcą okazać moc swoją.

Niebawem płynęło i pieniało się wszędzie, gdzie tylko postawiłem nogę. A nie było już deszcz przemijający, lecz trwałe. Niebo jak noc poczerniało. Gdy

się odwróciłem na południowy zachód, by się przekonać, czy z tamtej strony nie zabłyśnie promyk nadziei, ujrzałem powietrze i niebo, zlewające się w jeden szary obłok chmur opadających.

Nagle pociemniało zupełnie. Z całej siły rozdzierałem oczy, ale jak gdybym wciąż brodził pod wodą, nic nie widziałem; nie było więc co myśleć o dostaniu się dzisiejszego wieczora do szałasu. Skierowałem się w stronę wyłomu, ta droga wydawała mi się najodpowiedniejszą, ale tak było ciemno, że mogłem widzieć zaledwie na kilka kroków przed sobą. Trzeba się rozejrzeć za jakimś noclegiem. . . byle kamień, skała lub coś podobnego, nie pogardzę niczym. Ale nic takiego nie dojrzałem. A na domiar złego zgubiłem kierunek. Zdawało mi się, że idę na zachód, nie na północny—wschód. Dostałem się na jakieś pustkowie pełne skał i przepaści, tak, że nie można było znaleźć oparcia dla nogi. — To się może źle skończyć — pomyślałem. — Mogę zwichnąć nogę lub złamać gnat i będę tak leżał do drugiego roku. — Chwilami przystawałem zestrachany,

miałem uczucie, jakobym kołysał się i chwiał nad czarną przepaścią.

Wczołgałem się pod pierwszy wielki złom, majaczący poprzez mgłę deszczową i ciemność, niby czarny, gęsty obłok—z jednej strony wystawał nieco na zewnątrz, tak, że deszcz nie zaciekał do środka. Wewnątrz znalazłem kamień, nadający się do siedzenia—tu się rozgościłem. Więc przecież miałem jakie takie schronienie. Gdyby to był Grand Hotel, nie cieszyłbym się nim bardziej.

Przewdziałem buty, obwiązałem szyję chusteczką, wepchnąłem w siebie kawałek chleba i spory łyk koniaku i siedziałem, zabawiając się nasłuchiowaniem deszczu. Szemrał on i pluskał, bryzgał i chlupał i świszczwał po halach. Nie wiem, com myślał, siedząc tak i trzęsąc się z zimna. Przez chwilę czułem się zupełnie samotny, ale później przyszło mi na myśl, że pod najbliższym kamieniem leży może zajac, lis i łasica zapewne gnieźdzą się naokół, a niżej, pod stromą skałą mają gniazda kuropatwy. Zrobiło mi się przyjemniej, gdym sobie uświadomił, że znajduję się w dobrym to-

warzystwie. Wtym serce zadrgało mocniej, zdawało mi się, że słyszę jakieś ciężkie kroki. Może to niedźwiedź? Ach nie! Niedźwiedź nie głupi, gdzież by mu się chciało w taki czas wyprawiać się na nocną hulankę? On sobie siedzi w jaskini swojej, gdzie mu ciepło i sucho. I nagle zdało mi się, jakobym i ja się tam znajdował. On mnie wpuścił i przytuliliśmy się do siebie, grzejąc się wzajem. Toby nam pomogło... bo koniak, który wypilem, haniebnie mnie oszukał. Pierwszy łyk grzał jako tako. Ale kiedy drugim razem uciekłam się do flaszki, nie pomogło nic. Zamroczyło mnie tylko, osłabiło, ale marzłem jeszcze bardziej.

Czy chwilami traciłem przytomność lub tylko myśl mnie porzucała i chroniła się gdzieś w dal, skoro nie było o czym myśleć—nie wiem. Była to noc strasznie długa. Że kilkakrotnie wstawałem, dygocąc z zimna, że zupełnie przestało padać, a niebo było wygwiazdzone—wiedziałem jak przez sen.

Natomiast pamiętam żywo ranek następny: blask dzienny rozlany po sinych górach, doliny odświeżone deszczem;

słońce wysoko na niebie przesiewające się przez powietrze tak przejrzyste, że mógłbym spojrzeć w niespończoność. Cały świat nowy, świeży, czysty. Jak baśń dziecięca, pełna żółtości i błękitu, jaśniejąca, niebiańska z jakimś delikatnym dźwiękiem, drżącym w przestworzu, roztoczył się dzień ponad szeroką przestrzenią i śmiechem odegnał całą tę noc niedobłą. Było mi tak dziwnie lekko— zdało mi się, że mógłbym utrzymać się w powietrzu jak ptak. Mam wrażenie, jakobym tańczył na kamieniu, pośród wrzosu i liści ożynowych, na których drżała zorza poranna i brylanty kropel deszczowych mieniły się tysiącem barw i blasków.

Taki ranek można okupić taką nocą.

IV.

Z pierwszego szczytu, na który się dostałem, ujrzałem przed sobą rozległą, płaską polanę górską, otwartą i jasną, a w dali, całkiem już poniżej grzbietów, z drugiej strony, wielkim, zaokrąglonym

łukiem błyszczą się niebieska, czysta rzeka.

Chaty nie widzę, ale według mapy powinny się znajdować dalej na północ. A więc przynajmniej wiedziałem, dokąd mam dążyć. Wesóły puściłem się w drogę.

Ale szło mi się pomału... jakgdybym zeszywniał. Niebawem jęło słońce dopiekać, ogarnęła mnie jakaś ociężałość. Wlokłem się senny, napół drzemiąc.

Niedobrze mi tu... taki blask jaskrawy.

Jakieś szepty i szumy słyszeć ze wszystkich porośniętych zboczy. Rzeka szemrze coś tajemniczo, skrycie. Napół stłumione słowa budzą się w szumie, nie mogę ich uchwycić. I ja sam niedobrze się czuję. Idę, jak gdyby nie na własnych nogach, nie mam w nich władzy. A mimo to idę, jakby na komendę. Tłumok na plecach ciśnie mnie i dokucza, jak pęty, od których się nie mogę uwolnić. Pieką mnie ramiona, a jednocześnie jak gdyby się gdzieś zapodziały. Na karku czuję niby ciężką dłoń. Przed oczyma skaczą mi jakieś płatki.

Góry są ożywione. Tu na północy

wypasują konie... są tu więc i klacze brunatne i czarne wielkie ogiery. Widzę je, jak ruszają gębą i wymachują ogonem. A na samych szczytach i wirkach stoją krąglutkie, tłuste karzełki i pasą swoją trzodkę, wesoło śmigając rękami. Karzełki mają się tu teraz dobrze, skoro chrześcijańscy pasterze opuścili hale i wrócili do domu.

Cóż to znów? brunatne niedźwiedzie, stojące w krąg. Zatrzymuję się, przybieram groźną minę—czy się też ulękną? Patrzę, mierzę oczyma — czekam. Nie mogę jednak nic wymiarkować... wszystko jakieś takie nietrwałe, niestateczne, ucieka, chowa się. Niby stoją na jednym miejscu a przecież się ruszają... To dziwne! Chyba to złudzenie oczu.

Zegarek mi stanął, zapomniałem go nakręcić wczoraj wieczorem. Ale czas szedł. Zimne podmuchy wiatru poczęły smagać od strony północnego wschodu. Ochłodziło się. Tu i owdzie zjawiała się na niebie chmura. Słońce się schowało, wiatr począł się wzmaczać, rzeka się pomarszczyła. Czyż znowu będziemy mieli deszcz?

Wtym — Bogu dzięki i chwała! Idę, gapię się, oczy mam otwarte a nie widzę. Czy to sen? Wszak szalas przedemną!

Rozśmiałem się. Wszystko poszło w zapomnienie. Za kamieniem, który mnie od słońca zasłonił, usiadłem i zabrałem się do posiłku. Ale suche rzeczy już mi nie smakowały—jeść trzeba jednak, chociażby się miało gryźć podeszwy. A wśród tego snują się myśli. Chwilami zda mi się, że rozróżniam te dziwne słowa, które brzmią w szumie rzeki i w powiewie wiatru, wołając głucho:— Długa droga! A zawsze naprzód!—Być może, iż się zdrzemnąłem chwilę. Przypominam sobie, że nagle jak gdyby pociemniało w powietrzu. Duże, sine chmury zebrały się na północy i zachodzie.

Jest więc upragniony szalas.

A prom? Nie! żadnego promu! To znowu cios. Ale skoro było mogło wczoraj przejść, ja dziś mogę zrobić to samo.

Rzeka tu jest szeroka i nieco wzburzona, ale niegłęboka. Zdjąłem buty, zagiąłem spodnie powyżej kolan i marsz!

Małe, okrągłe kamyczki, ostry żwir—

trudno utrzymać się na nogach. Ale chcę zyskać na czasie. Muszę dziś dotrzeć do Setisdalu w każdym razie.

Dziwne, jaką ogromną siłę posiada woda płynąca! Nagle zacząłem płynąć... w górę przeciw prądowi porywało mnie. Mocuję się, wpijam oczy w ląd i zbieram siły. Nie — płynąć nie mogę; ziemię się muszę trzymać. Oczy trzeba utkwic w brzeg, a prądowi pozwoleńić swoją drogą.

Coraz głębiej... środek, głębina. Hu! co za prąd szybki! Kij mi się wysuwa, nogi chcą pójść za nim, na nic ludzka siła... właśnie, gdy miałem się położyć jak długi, szarpnąłem się i napół zacząłem na płytszą wodę. Tak wróciłem do lądu—trzeba odpocząć i rozejrzeć się.

Jakimże sposobem mogło tedy przechodzić bydło? a nawet podczas wezbrania? Ha, czasem też i ginie! niekiedy całe stada. A rzeka wciąż niema mostu, jak nie miała go za czasów Noego. Ubóstwo dużo kosztuje. Myślą o tym, mówią o tym, człowiek jeden za drugim, pokolenie za pokoleniem. Ale tylko tyle. Każdy z osobna jest za słaby, by się zaś połączyć, na to są zanadto Norwe-

gami. A państwo musi zakładać koleje żelazne przez wszystkie zachodnie wybrzeża fjordów, aby współzawodniczyć z parowcami. Tak więc muszą ginać owce, a może i ja z niemi!

Jak czapla na długich nogach chodziłem tam i napowrót nad rzeką mierząc jej głębokość i siłę prądu. Trochę dalej jest głębiej i spokojniej tak, że możnaby przepłynąć. Ale z tłumokiem i w sukniach na grzbiecie byłem dziś za ciężki.

Patrzcie! Wszak jest prom — ale po drugiej stronie. Więc tu już dziś ktoś był? Może cyganie? Nie powinno się kraść promu! to może ktoś życiem przypłacić. Ale nie miałbym nic przeciw temu, żeby teraz z przeciwnej strony zjawiała mi się jakaś grupka cyganów. Nie ma obawy. Wczorajszy wypadek był wyjątkowy. Chociaż Norwegja jest krajem, gdzie cyganie mają największą swobodę, mimo to rzadko się ich spotyka; jeżeli się tego pragnie. Wtedy gdzieś znikają — jak policjanci lub przyjaciele. Ach, nogi mnie kuszą. Nie utonę dziś, czuję. Nie utonie, co ma wisieć. I znowu puszczam się w bród. Kieruję się

trochę ukosem w górę, napół przeciw prądowi. Dotarszy do głębiny, urządzam zwrot i puszczam się w dół — prąd był tam słabszy i mogłem lepiej stawiać nogi. Mokry byłem cały, tak, że już nie było się co troszczyć o suknie. Ale, jak było to było, a w każdym razie dostałem się na drugą stronę.

W chacie urządziłem sobie posłanie z siana, które pozostało tu po pasterzu, a starej, suchej skóry wołowej użyłem za prześcieradło. Leżałem więc i próbowałem życia pasterskiego na halach.

Czasami może ono być przyjemne. Cały dzień przepędzić w górach, wrócić do domu, przewdziać się i posilić, potem do łóżka, które chyba cokolwiek miększe bywa od mojego. A przecież zawsze znajdzie się nieco wrzосу lub kosówek na rozpalenie ogniska, tak, że pasterz może sobie upiec rybę, którą ułowił za dnia lub zagrzać mleko, które wydoił wieczorem. Zmęczony jak pies, legnie i zaśnie, nie dokończywszy modlitwy. Czy też pamięta o czymś podobnym, jak wieczorne czytanie? Wątpię, zapewne myśli o swoim stadzie, o nieszczęściu,

jakie by się mogło przytrafić, o najbliższej przesyłce koniczyny, której się spodziewa z domu wraz z żywnością... albo o dziewczętach. O górskich boginkach... inne bowiem rzadko się tu zaplączą.

Leżę i wiercę się. Kości mnie bolą od tego twardego posłania, ale to ustępuje, gdy się wyprężę. Na dworze szumi rzeka, twardo, ostro; już to pluszcze, to znów huknie przeciągłym, wysokim krzykiem — dziwne te nagłe zmiany tonów! To góry grają, to skały odzywają się wielkim głosem. Silne podmuchy wiatru wionęły nagle, nastąpiło zamieszanie i dzika pieśń to głuchła to znów podnosiła się mocniej i płynęła niby huk morza.

Na dworze słyszę, jakoby kroki czyjeś, niekiedy tak wyraźne, że tylko czekam, kiedy drzwi się otworzą i coś wsunie swoją głowę lub ujrzę wielką, otwartą paszczę. Bóg wie, co mi się może ukazać, bo na halach mieszkają rozmaitego rodzaju duchy. Tu przecież powstała pieśń ludowa. Jeżeli ktoś chodzi po tych halach, zatopiony w sobie i słucha i patrzy, posłyszcy i zobaczy wszyst-

kie tajemnice, wszystkie obrazy, o jakich śnił w długi, jasny dzień letni lub w posępny, brzemienny burzą wieczór jesienny — tak powstaje baśń i tworzą się podania. W taki wieczór ujrzyć można ducha lub posłyszeć wyjące topielice, lecz w letnie nocy, kiedy tęsknota się budzi i krew żywiej krąży, wchodzą cicho boginki, siadają na krawędzi łóżka i łaszają się i przymilają, póki oszołomiony marzyciel, ujrzawszy pysk i zielone, dzikie oczy zwierzęce, nie odegna ich od siebie znakiem krzyża świętego.

Tu, w zachodnich dolinach obrały sobie siedlisko pieśni i klechdy. To hale tworzą poezję i śpiewają. Nieocenionych bogactw dostarczają te hale: mięsa i wełny, podań i pieśni.

Wkońcu ja sam leżałem w napół przytomnym stanie, między gorączką a snem. Kiedym się ocknął, było ciemno. Dochodził mnie jak gdyby głuchy szum wodospadu—to deszcz. A rzeka szemrała, krzyczała, wyła. Jak gdyby wszelki strach przed duchem, zamieszkującym te góry, zebrał się w tym głosie. Resztę nocy tonąłem w tym huku

i szumie. Chwilami zdało mi się, jakoby się zlewał z temi rozpełtanemi siłami. Dzika, napół ze strachem zmieszana radość ogarnęła mnie. — Świat się rozprzęga — wszystko płynie... pędzimy do morza... pędźmyż więc!

V.

I znowu nastał dzień.

Wśród gęstej mgły posuwałem się z góry na górę, poprzez wodospady, wądoły, parowy i grzbiety, a coraz dalej, a coraz wyżej. Szum rzeki przycichł i ustał. Zaległa cisza, majestatyczna cisza na tych górach tonących w obłokach. Im wyżej się wspinałem, tym szło mi się lżej. Wtym nagle rozjaśniło się. W tej samej chwili stanąłem na szczycie i rozległy widok otworzył mi się na Setisdal.

Teraz już same nogi mnie niosą. Ścieżka idzie prosto i kończy się na dole. Wielkie błonia i niwy rozpościerają się we wszystkich kierunkach. Tu trawy rosną niezasiewane. Piękne zagrody można by tu pobudować na tych bło-

niach, ale ponieważ chłop nasz czuje tylko powołanie do uprawiania prerji, muszą marnieć norweżkie trzęsawiska.

Ale otóż pierwszy porządny szalas! Stał niepozorny, szary, mały. Niech go Pan Bóg błogosławi, to przecie miła rzecz wejść znów między ludzi.

W maleńkiej izdebce krząta się kobieta: stoi nad maślnicą, robiąc masło. Ubożuchno tu, statków niewiele. Ale zapominam o wszystkim. — Jestem w Setisdalu—niemal wszystko śpiewało naokół mnie. Ta babina cicha, nawet ponura, ale ubrana jak w baśni, zajęta swoją codzienną robotą, delikatna i rozumiejąca się na wszystkim, przy swoim ubóstwie jest dla mnie poezją — a gdy przemówi do mnie, zda mi się, jakoby słyszał dźwięki Eddy.

Za chwilę płonie wesoły ogień i zanim się opatrzyłem, wisiał już nad płomieniem mały kociołek na kawę, czarny, jak gdyby wyszedł wprost z czeluści piekielnych. A jak cicho to wszystko idzie, a szybko! Wśród tego babina bawi mnie rozmową, objaśnia pod wielu względami i dowiaduję się tego, czego

mi trzeba, jako obcemu w Setisdalu. Sądziła, że nie tak powinienem był iść, a wogóle nie należało wyruszać w taki czas. Gdybym się był lepiej znał na górach, nie byłbym tego uczynił.

Wrócił też i mąż z łąki. Dostrzegł on nieznanomego, idącego z hal i musiał się dowiedzieć, kto to taki i co ma za interes. Jestto bowiem obyczaj ludowy, aby podróżnym służyć pomocą, o ile możliwości—trzymają się tego i w górach. On wydaje się trochę smutny i zamyślony—zdaje się, że biedni to ludzie, w kiepskich stosunkach, lecz nie mówią o tym i niebawem siedzimy wszyscy przy kawie wśród najlepszej rozmowy. Jestem tu jak w domu; rozpoznaję niemal we wszystkim zwyczaje swojej wioski rodzinnej i mowa moja w ich ustach wydaje mi się piękniejsza i bogatsza.

Nie w porę wybrałem się do Setisdalu — powiadają. Przeważnie ludzie są jeszcze na halach tak, że trudno coś dostać do zjedzenia,—nawet o mleko trudno. Ale wymienili mi kilka zagród, gdzie zastanę ludzi i urządzenie jakieś —

a zwłaszcza polecali mi Gunnara Dren-
gesena z Ose.

Była to dla mnie piękna chwila, gdym
się znów znalazł w lesie, ciemnym, sza-
firowym lesie iglastym, który dla czło-
wieka z nagich stron zachodnich wydaje
się jakby z bajki wyjętym, uroczym,
wyśnionym.

Wtym weszło czerwone, ciepłe, wie-
czorne słońce i nowym czarem owiało
baśń. To też niebawem, gdy stanąłem
na górze, skąd otwierał się widok na do-
linę, las zniknął wobec obrazu, jaki chy-
ba tylko wymarzyć sobie mogłem; na
zielonej, małej łące brunatny, miły sza-
łasik, a przed jego progiem kozy, liżące
sól i skubiące trawę, pełne życia, beczą-
ce wesoło, młode, bawiące się i skaczą-
ce, a najdalej, jakby na czatach, sam ko-
zioł, wielki, sinawy, z dużymi rogami
i piękną brodą. A we drzwiach szałasu
stała wysmukła, swobodna, lekka, ubra-
na jak księżniczka z bajki słyszanej w
dzieciństwie — młoda dziewczka ze skop-
cem mleka.

Stałem zapatrzony i oczarowany: rze-
czywistość że to wszystko, czy sen?

Czyż mam się odważyć pójść tam? Wtym pociemniało. Słońce zaszło. Sinawe tony rozpostarły się po lesie i po wirchach. Sen o huldrze rozwiął się. Ale jedno wiedziałem na pewno:— że dotarłem do Setisdalu.

Następnego wieczora siedziałem w izbie gościnnej u Gunnara Drengesena z Ose.

Ogień trzeszczy wesoło na kominie. Naprzemian to światła to cienie snują się po izbie, ożywiając wszystko. Środek izby, gdzie skupia się obraz, jest najjaśniejszy, dalej igrają cienie i półcienie, to ukazując się, to niknąc ze ściany i ławy o nie oparte, już to wyłaniają się to znów giną. U pułapu zaś walczy blask płomienia z ciemnością i unoszącymi się kłębamii dymu w dziwnie tajemniczy sposób. Gospodyni to wchodzi, to wychodzi ze statkami lub zagląda do ogniska; grają barwy i srebro w jej odzieniu, a ruchy ma piękne i pełne godności, silne a lekkie, jak gdyby płynęła — chód, jakim się odznaczają kobiety Setisdalu. Jedna z nich oczarowała mnie poprostu. Czegoś równie doskonałego

nie widziałem nigdy, jak to blade lecz piękne oblicze, przy postawie pełnej wdzięku i dumy. Żyją więc jeszcze w Setisdalu hetmani i córki hetmanów...

W odmienny sposób zachwycąłem się też góralami z Setisdalu: wysocy oni, jasnowłosi, spokojni, o żywych, bystrych oczach, noszą giermańskie, zawadjackie a zarazem wspaniałe gunie, używane w dolinach, bo, zdaje mi się, że strój przejęli z Holandji — bez rękawów, szerokie na piersiach, z wyszyciami przetykanemi srebrem, z czasów, w których sztuka hafciarska kwitła więcej, a na głowie butne cylindry, niby korona i odpowiednie zakończenie całej postaci. Taki parobczak w mojej wyobraźni zmienia się w «herosa».

I inny jeszcze wyraz nasuwa mi się a mianowicie: aryjczyk. Słyszałem czy też czytałem gdzieś, że w Setisdalu żyją jeszcze potomkowie czystej rasy aryjskiej, która zawładnęła światem. Tak, oni przypominają Hermanowych rycerzy? Czyż zwyrodnieją obecnie, skoro się już nie biją, chyba od czasu do czasu w karczmie na noże? Jeżeli prawdą jest,

że mało zamiłowania posiadają do pracy i według wymagań czasu, z wyrachowania i wytrwałego uporu... Precz!... nie chcę takich myśli dzisiejszego wieczora.

Rozmowa toczy się lekko, swobodnie i z wielkim ożywieniem. Śledzę przede wszystkim gospodarza, samego Gunnara Drengesena, wiekowego już, pięknego mężczyznę, naczelnika starożytnego rodu, chłopca i górala o twarzy wyrazistej, pięknej, aryjskiej, statecznego i równego temperamentu. Lekko, spokojnie prowadzi on rozmowę z umiejętnością, którą spotykałem u włościan z zachodnich stron, ale może nie tak doskonałą i wytworną w formie; wszyscy mogą brać udział w rozmowie, wszyscy czują się swobodni, lecz w pewnych karbach utrzymuje ich dobry ton, tak, że nic niepotrzebnego lub niemiłego się nie usłyszy. A przecież znajdowali się tu mieszkańcy tej doliny i obcy.

Gwarzyli, opowiadali, każdy swoje. Przypominam sobie zwłaszcza młodego górala, który tak ładnie opowiadał, że zwolna wszyscy umilkli i jego słuchali.

Od opisu wycieczki do miasta, z której powrócił, przeszedł zrećznie do opowiadania o jakimś rodzie, które to opowiadanie pod wielu względami przypominało islandzkie sagi, a pochodziło z górnego Setisdalu. Przedmiotem jego była zawiedziona miłość, żal i zemsta, hulanki, zabójstwa, szaleństwa—było obraz o barwach jaskrawszych, niż te, do których przywykliśmy. Ale mnie wyszło z pamięci podanie, a utkwiał opowiadający. Było najlepszy narrator, jakiego w życiu słyzałem. Cały utonął w tym, co opowiadał; siedząc spokojnie, zmieniał tylko wyraz twarzy, spojrzenie i ton głosu, stosownie do treści opowiadania. Było nowy, norwecki styl baśniowy, czysty a pewny, dawny z dźwięku i dosadności, lecz z nowszym rysem jakiegoś miększego, śpiewnego tonu. A język گیاł się i oplatał lekko myśl, na którą zawsze znalazł się u niego odpowiedni wyraz.

Siedziałem milczący i przygnębiony, przysłuchując się. Tu należałoby się uczyć języka norweckiego; a ja straciłem najlepsze lata nauki daleko stąd.

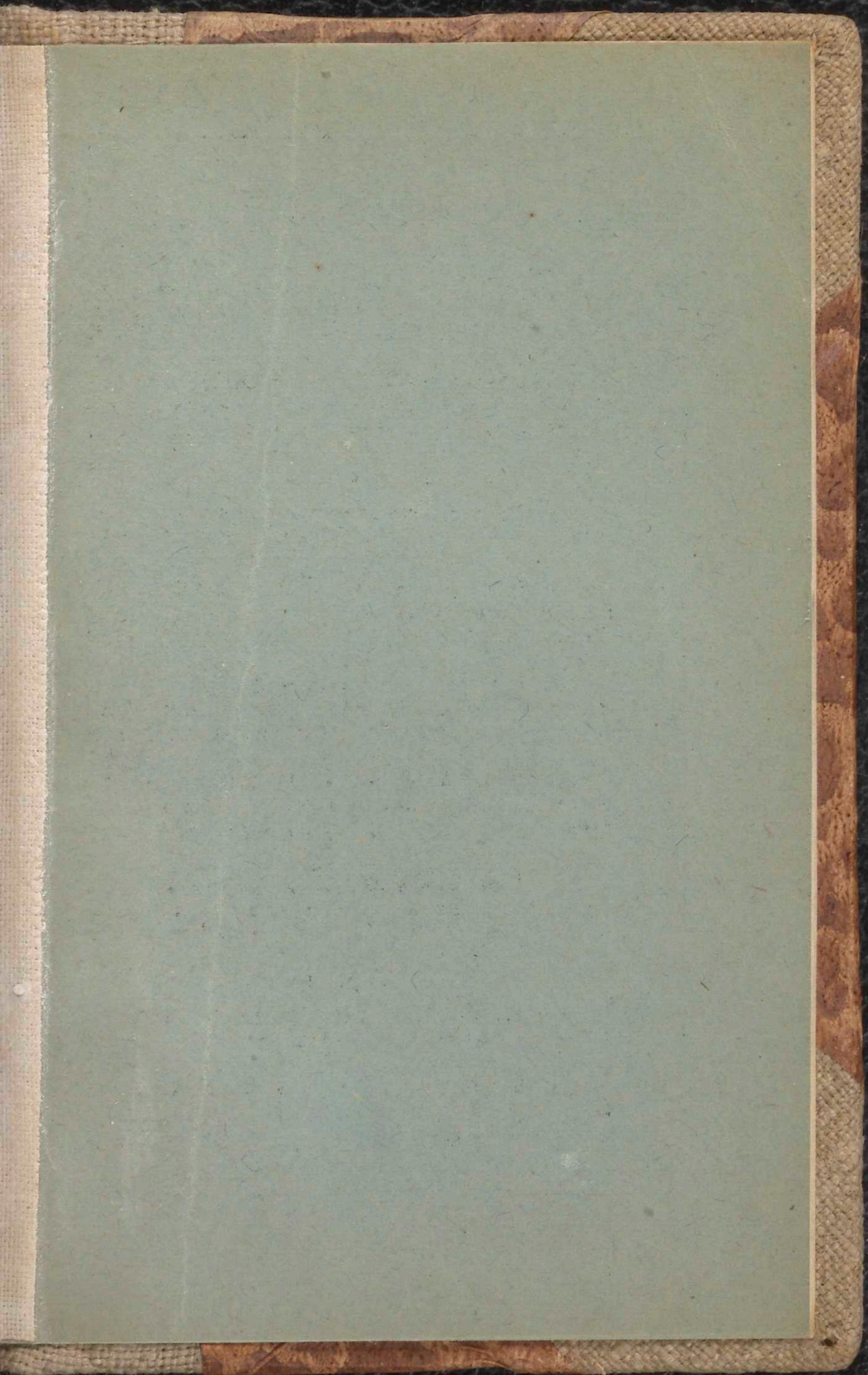
Gdy nadeszła pora spoczynku, zaprowadzono mnie do izby gościnnej w nowym domu. Tu było obszernie, ładnie i schludnie. Ale tak nie licowało z tym, co przedtem przeżyłem, że nagle znalazłem się daleko od Setisdalu. I het, daleko od wszystkich hal wogóle!



S P I S.

	<i>Str.</i>
Morze	3
W Stowarzyszeniu młodzi	28
Śmierć	64
Lars z Lia	82
Górskie powietrze	90
Starzy i młodzi	110
Na halach	116





ALBUMY I POEZJE ILUSTROWANE

Dla Ciebie, Pani!...

Album poetyczne ze wspaniałymi chromolit.
Format wysoki, w pięknej okładce 2 70

GAŁĄZKA POKOJU

Piękne album z wyborem najcelniejszych poe-
zji religijnych, ozdobione 12 chromolit. 1 20

Z WIOSNĄ

Albumik z wyborem poezji, ozdobiony 8 chro-
molitografjami, w ozdobnej okładce — 90

WIOSENNE KWIECIE

Poezje Or-Ota, ozdobione 16 chromolitogra-
fjami, w ozdobnej okładce 1 20

ECHA WIESZCZE

Ozdobne album z wyborem fragmentów na-
szych poetów, z 12 wspaniałymi chromol. 1 80

KWIATY I PIEŚNI

Piękne album kwiatowe z 68 chromolit. z wybo-
rem poezji naszych poetów, w ozd. okł. 2 —

LEĆCIE PIEŚNI

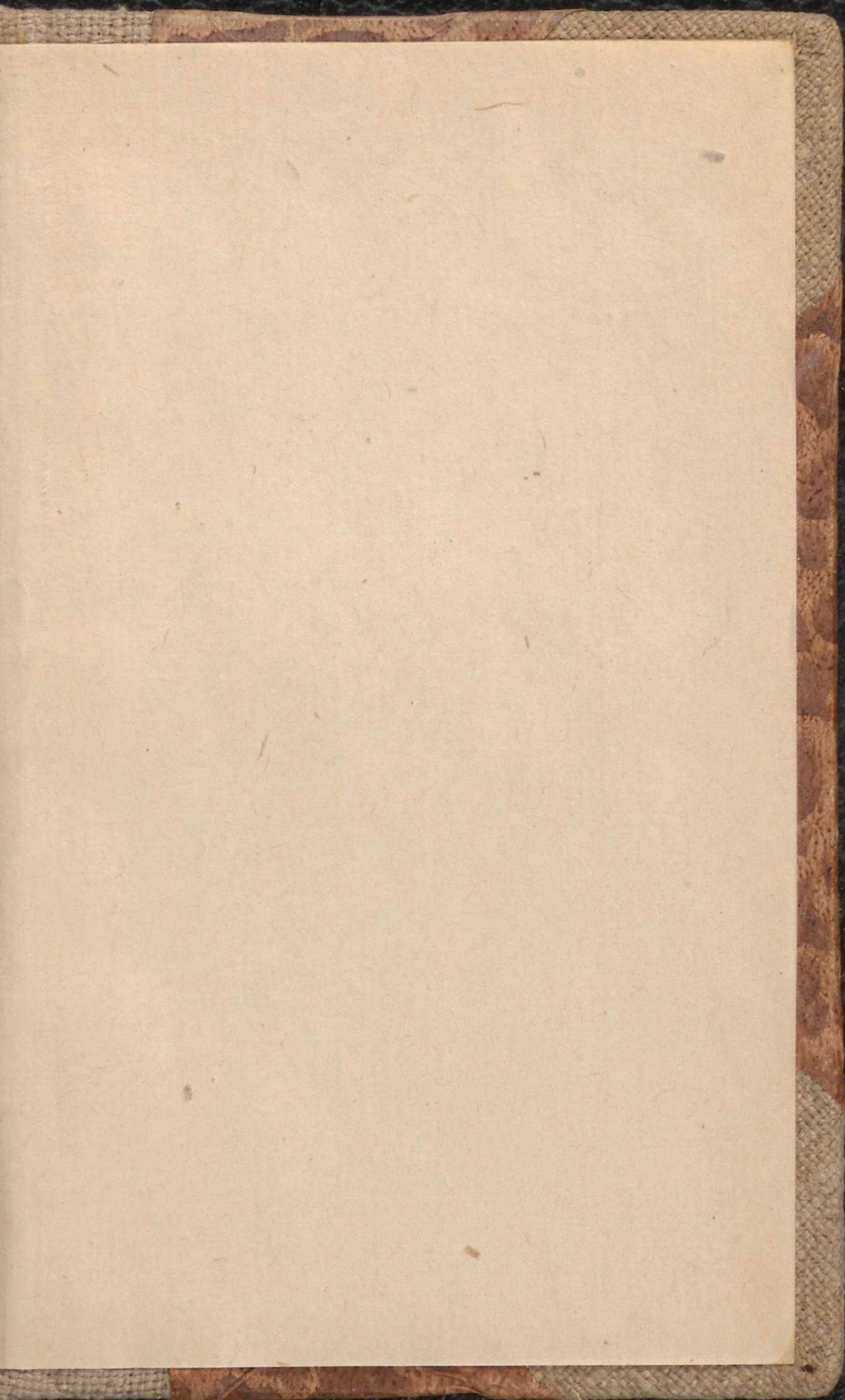
Prześliczne chromolitografje, z pięknym wy-
borem poezji naszych poetów, w ozd. okł. 1 20

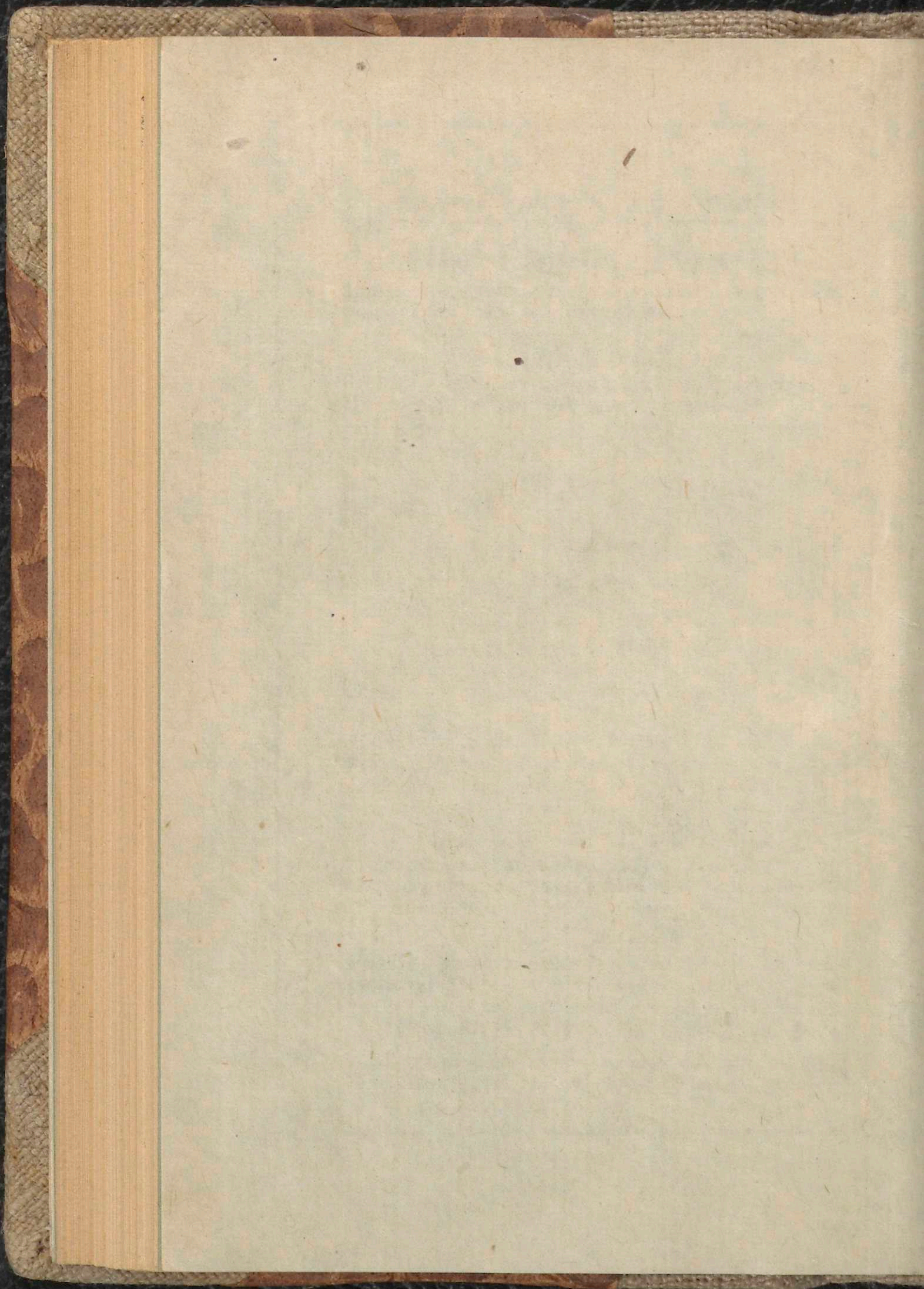
LISTY

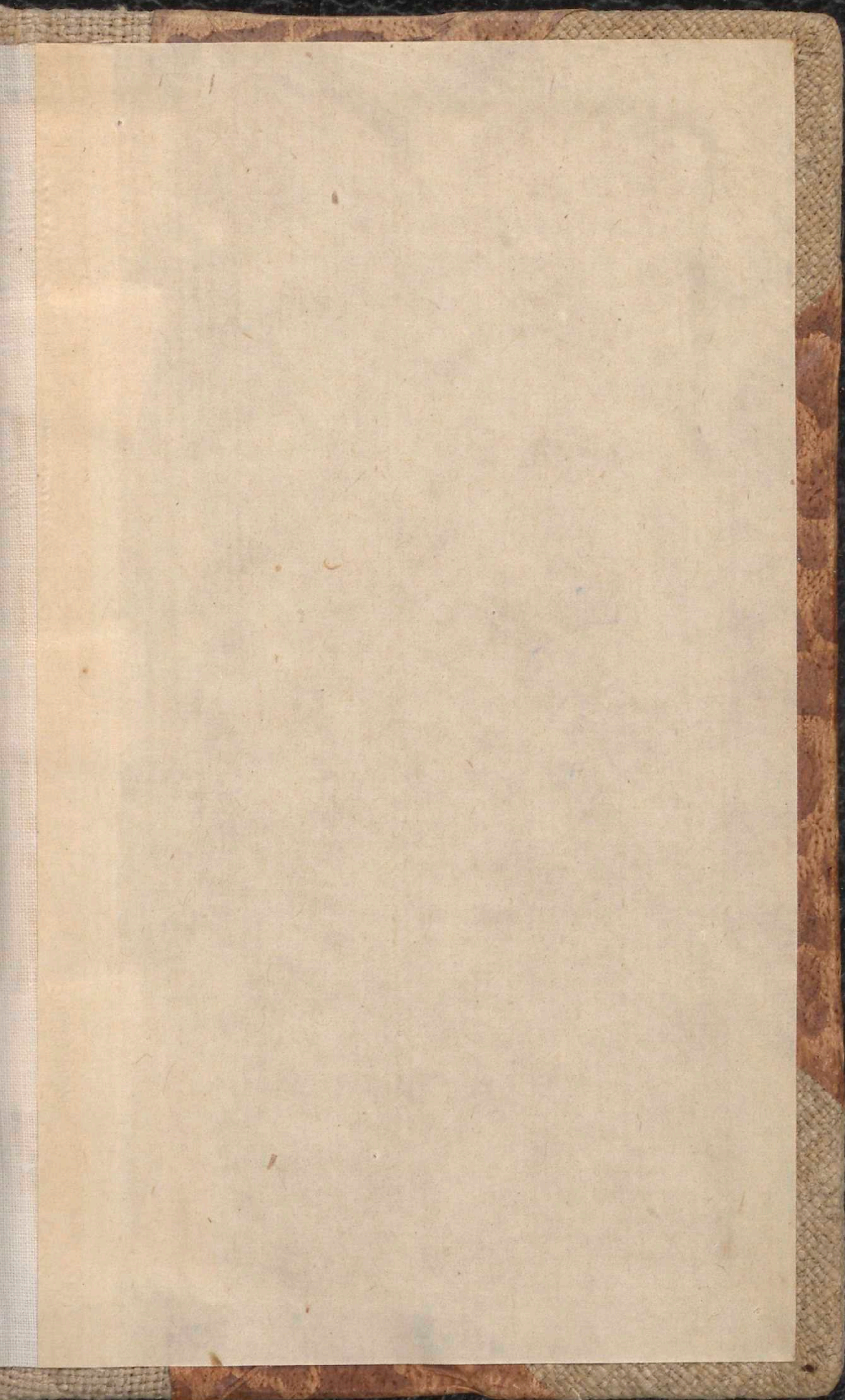
Poezje M. Konopnickiej, ozdobione 12 chro-
molitografjami, w ozdobnej okładce — 75

PIEŚNI - LISTKI

2 albumiki z wyborem poezji, ozdobione chro-
molitografjami, w ozdobnej okładce, po — 50









540750/236

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001008152976